WIENIEC

PISMO DODATKOWE
DO
GAZETY WARSZAWSKIEJ
POŚWIĘCONE LITERATURZE

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobię,
Tych wonią serca pieszczę tych się barwą zdobię.

Rok drugi, Tom VI.

MIESIĄC WRZESIEŃ

WARSZAWA
1840.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DZIEDZICTWO FAMILIJNE.

Część druga.

XIV.

Przy świetle Księżyca.

Pierwsza myśl o miłości robi jeszcze piękniejszą młodą dziewczynę, chociażby była najładniejszą; oczy nabierają wyrazu jakiego nie miały, policzki wstydliwego rumieńca i wszelkie jéj czyny pewnéj skromności, okazującéj że jéj serce porozumiało się z umysłem. Gry niewinne, rozrywki płoche które ją bawiły na dniu poprzedzającym ten, w którym ją opanowały myśli miłosne, są nazajutrz tak od niej oddalone, że o nich nic nie pamięta tylko jak o dziecinnych marzeniach na które się uśmiecha z pogardą.

Mała panienka uczuła iż wyszła nagle ze snu dzieciństwa, i zdaje jéj się że ona wzrosła w miarę wzniesienia jéj duszy.

Samej tylko kobiecie pozwolonem jest to nagłe przekształcenie z dzieciństwa do rozumu, ze snu serca do życia duszy, gdyż Bóg chciał aby tylko raz kochała. Jeśli się zawiodła w swéj pierwszéj miłości, umiera albo powoli niknie; jest to anioł który powraca do nieba albo upada z upadku w upadek na ziemi.

Mały pokoik gdzie niegdyś rozlegał się głos Cecylji, stał się cichym jak gdyby był przybytkiem religijnym, ta która w nim mieszka nie pozwala się unosić wybuchom swéj hucznéj wesołości, cienka posadzka sosnowa nie skrzypi już pod jéj szybkiemi krokami które zdradzały nadzwyczajną żywość i płochość przewodniczącą wszystkim jéj ruchom, chodzi powoli, nie śpiewa, nie rozmawia sama z sobą, gdyż.... gdyż jakeśmy już powiedzieli wczora Cecylja była tylko tylko młodą dziewczyną, a dziś jest to kobieta którą opanowała myśl wszechwładna.

Przybycie na folwark Adolfa Jouani więcéj zrobiło skutku jak wszystkie nauki p. Marcelle

dane swéj córce: spojrzenia, słodkie wyrazy młodego artysty, więcej ją podbiły niż spojrzenia i pół-słówka z któremi się matka do niéj odzywała ukradkiem. Gdyby p. Marcelle położyła rękę na sercu Cecylji, znalazłaby w niém wszelako tenże sam zgiełk i życie które niekiedy wystawiały jéj cierpliwość na przykrą próbę.

Wszystkie marzenia natchnione niewinnéj panience przez portret małego muzeum, zjściły się zupełnie: Jouani podwoił wdzięk, wdzięk oddany przez malarza; jest równie pięknym ale daleko więcéj wyrazistym jak jego wizerunek.

Krew południowa burzy się w błękitnych żyłach Cecylji, jéj serce bije, a pod jéj czarnemi rzęsami, wzrok uprzejmy i wilgotny ściga najmniejsze poruszenie Adolfa, który gdyby chciał, mógłby odgadnąć tkliwe uczucia które obudza, ale nadto skromny aby mógł wyczytać w oczach kobiety co się dzieje w jéj sercu, nie wie o nich i stara się ukryć przed sobą samym uczucie jakiem jest dla Cecylji przejęty, rozumie go być tak naturalnem jak wdzię-

czność, którą czuje dla jéj matki. Obudwom nie okazuje jak tylko serdeczną przyjaźń, nazywając jednę swoją matką a drugą siostrą.

Piękność Cecylji przyciąga go pomimowolnie; serce mu bije, gdy rozbiera jéj powaby i zgaduje doskonałości, które tyle przyjemnych zarysów objawia jego postrzeżeniom artysty: żądza się wkrada do jego spojrzenia, a miłość do serca.

Marcelle tego dostrzegła i nie jest to najmniéj ważna z jéj niespokojności. Szczęściem dla obojga, że rzecz bardziéj jeszcze niepokojąca, żywo ich uwagę zajmuje, pani Marcelle i Adolf nadto myślą o rozwiązaniu zdarzeń przygotowujących się w zamku, Adolf, aby się poświęcił zupełnie swéj powstającéj miłości, a matka aby się obawiać o jéj następstwa.

Zaprosiny przesłane przez hrabinę młodemu Jouani, sprawiły radość, któréj nie mogła ukryć. Adolf przeciwnie czuje się być pomięszanym i przymusza się powrócić do spokojności. Cecylja ma nowy powód kłopotu.

— Pierwszy to krok masz zrobić, aby po-

wrócić do zamku twych przodków, powiedziała mu poczciwa Marcelle do ucha. Bądź stałym i spokojnym, jak gdyby ci sprawiedliwość już została wymierzoną.

Mylisz się pani odpowiedział jéj: mój ojciec był wypędzonym z tego domu gdzie był cudzoziemcem, a moja matka została z niego wygnaną na zawsze. Czy rozumiesz tedy żeby mnie tam zaproszono gdyby wiedziano kto jestem?

— Wszakże to ręka p. de Lerme która kierowała rękę matki; p. Edward wie twoje nazwisko.

— To prawda! ale on ma umysł obłąkany a przy tem zamiar okropny na który ja ani mogę zezwolić.

— O! prawda Adolfie, jest to zapewne myśl okropna umierać w tak młodym wieku, ale jak jest szlachetna i pocieszająca dla niego, chcieć powrócić prawym dziedzicom swoiéj rodziny majątek, który po nim przeszedłby w ręce nie wiedzieć jakiego intryganta przyczepionego do tego domu jakby jaki zły duch, albo jaka zaraza!

— O kimże to tak pani mówisz?

— Daj pokoj! daj pokój! wiem ja co mówię i sam nie zadługo poznasz tych którzy w zamku mieszkają. Twoje nazwisko i twoje życie są tam wiadome innym osobom nie tylko vicebrabiego, twoje przybycie zniszczy wiele planów i nadziei! Dałby Bóż żebym się myliła, ale tego się nie spodziewam.

Ażeby się z czém nie wygadać, pani Marcelle obróciła się plecami do Adolfa i pozostawiła go samego z Cecylją...

— Pan nas opuszczasz? pośpieszyła powiedzieć niespokojna panienka, która była obecną rozmowie Adolfa z matką, ale jak na przekorę ani jednego słowa z niéj nie słyszała.

— Tylko na dzisiejszy wieczór.

— Znasz więc pan hrabiuę?

— Nie znam!

— Ale pana Edwarda?

— Od niedawnego czasu.

— Znajdziesz wszystkich bardzo smutnych w zamku.

— Czy pani tam bywasz czasem?

— O! bardzo często, ale już teraz nie będę

tam bywać, moja obecność przypominałaby hrabinie jéj biedną córkę, a jabym się nie mogła wstrzymać od płaczu, pomyślawszy o mojéj dobréj Elizie. Kochała mnie jak własną siostrę: nasza znajomość dalcko sięgała: od dnia jak mnie oddano na pensję zostawałyśmy zawsze razem, aż do chwili w któréj ją opuściła będąc chorą, nie była wcale dumną, pomimo różnicy zachodzącéj pomiędzy nami, a chociaż ubiegałyśmy się o pierwszeństwo w naukach, byłyśmy nie mniéj dobremi i nierozłączonemi przyjaciołkami. Dla tego też z wielką radością poniosłam jéj wieniec, który otrzymała na ostatnim examinie przy rozdaniu nagród, na którym już się znajdować nie mogła. Takie to było pierwsze moje wejście do zamku i odtąd nie opuściłam ani jednego dnia aż do jéj śmierci.

Cecylja płakała kończąc to krótkie, ale szczere opowiadanie. Adolf do niéj się niechcący przybliżył, zdawała mu się jeszcze piękniéjszą od czasu jak spostrzegł, że miała dobre serce.

Przyszło mu na myśl: że się powinien jéj zapytać, dla czego wydała taki krzyk zadziwienia, spostrzegłszy go pierwszy raz w kościele na pogrzebie siostry Edwarda de Lerne.

— Jak się to zrobiło, żeś pani mnie uważała w kościele, gdym się tam przypadkiem znajdował, nimem tu przyszedł?

To zapytanie, którego się wcale niespodziewała, okryło jéj twarz żywym rumieńcem, coś tak cicho odpowiedziała, że Adolf nic nie zrozumiał.

— Tak jest do pana podobny, rzekła cichym głosem.

— Któż taki? zapytał Adolf.

— Pański portret.

Cecylja jeszcze bardziéj się rumieniła, a Adolf jeszcze bliżéj do niéj się przysuwał.

— Mój portret! któż go zrobił, i jakim sposobem tutaj się znajduje?

— Tego ja nie wiem, był przysłany już temu lat kilka mojéj matce i jak się dorozumiewam z Paryża.

Jouani wykrzyknął z zadziwienia i radości!

— Teraz wiem zkąd portret pochodzi i kto

go zrobił, rzecze, jam go wymalował, a moja matka przysłała go poczciwéj mojéj mamce.

Przyszła koléj na Cecylję okazania swojego zadziwienia, Adolf nadto już późno spostrzegł że się wygadał.

— Twoja mamka, moja matka?

— Tak jest, widzisz że jestem prawie twoim bratem.

Na twarzy dwojga młodych, malowało się współczucie i ich ręce spotkały się, równie jak i ich spojrzenia, słowo brat uczyniło Adolfa śmielszym, a Cecylję mniéj bojażliwą, ich miłość rodząca się, zrobiła niezmierny postęp! czegóż Cecylja miała się obawiać brata, i do czegóż tytuł siostry ją nie upoważniał? Porozumieli się, a wszelkie oświadczenia były niepotrzebnemi dla nadania między niemi prawości ich wzajemnemu zaufaniu.

Młoda panna pochwyciła jedną z tajemnic swojéj matki, i złośliwy wyraz zajaśniał na jéj twarzy, kiedy pani Marcelle weszła.

— O! nie powiedziałaś z jakiego względu ten młody jegomość był ci tak miłym, pomy-

ślała sobie, dobrze i ja ci też nie powiem, żem odkryła tę tajemnicę, tak dobrze ukrytą.

Ta mała zemsta kobieca, mogłaby stać się szkodliwą dla młodéj dziewczyny, gdyby Jouani nie miał tak nieskażonéj duszy i mniéj czci dla swojéj opiekunki Marcelle, bezpieczną ona jest pod wyrazistém spojrzeniem, tego którego przyrzeka nazywać swoim bratem, byłaby nawet bezpieczną i w jego objęciach, gdyby jakim trafem w nie się dostała, są takie związki których moc żądzy zerwać nie może, ta wstrzemięźliwość, stanowi chęci uczciwego człowieka, i ta go uzacnia w tajnikach jego sumienia, gdzie Bóg przemieszkuje.

Przenikliwe oczy pani Marcelle nie dosięgły wszelako do serca Adolfa, wracając do wielkiéj sali, spostrzegła że odległość znajdująca się między Adolfem a Cecylją przy jéj wyjściu, zmniejszyła się, i że ich rysy wyrażały inne uczucie.

— Już czas abyś się udał do zamku, rzekła skwapliwie.

Jouani wyszedł dla zadość uczynienia zaprosinom hrabiny.

Jego serce bije z trudnością przechodząc próg bramy zamku, regularny i smutny widok facjaty od strony miasta, powiększa w nim u. c ucie wstrętu, który opóźnił chód jego. Zatrzymuje się pogrążony w myślach i długo błądzi wzrokiem, po powierzchni budynku rozwijającego przed nim szczątki swojéj starożytnéj swietności.

Wteuczas kiedy iskrzące światła przebijały się przez szyby wysokich okien, kiedy liczna służba krzątała się po podwójnych wschodach, prowadzących do wielkich drzwi głównego wejścia, wczasie gdy biesiady i uczty ożywiały tę massę cegieł okrytych herbami, ten dziedzieniec oskrzydlony pawilonami czworobocznemi z ich kończystym dachem, pokrytym kamieniem łupkowym w rybją łuszczkę, i uwieńczonym żelaznemi wietrznikami, a tych przeraźliwe skrzypienie naśladujące świst smoków, których przedstawiają postacie; w owych czasach mieszkanie książąt de Clary, musiało być pięknym i wspaniałym palacem, teraz jest to ogromny kościotrup, okryty starą pozłotą, wytartą, i przez czas zczerniałą.

Zgadnąć można że wnim zamieszkuje zgryzota, choroba i żal: zarosł główny dziedziniec gęstym chwastem, kroki tłoczącéj się ciżby nie przeszkadzają jego krzewieniu się: gdzie mieszka nieszczęście, tam mało bywa odwiedzających.

Adolf uważa że jego matka mniéj straciła na wydziedziczeniu, niż hrabina de Lerme w pośrod téj pustyni, która musi jéj przypominać bez przestanku Edwarda i jego siostęę czuje swoję wyższość, i mniema że im obojgu jest potrzebnym, zbliża się tedy pewnym krokiem do ganku, gdzie go chrapliwy głos odźwiernego zatrzymuje; odpowiedziawszy na zwykłe zapytanie, młody malarz dodaje: proszę zameldować Adolfa Jouani!

Odźwierny poprzedzając go, prowadzi do pierwszego lokaja którego w sieni spotyka; zameldowano Adolfa tak jak żądał, pod imieniem jego rodziny, szczerość która zabezpiecza go, jak rozumie, od wszelkich krzywdzących domniemań ze strony hrabiny.

Osłupiała z zadziwienia, pani de Lerme patrzy na swojego syna, który poskoczył naprzeciw

Adolfa, ale twarz Edwarda nie pokazuje że mu jest wiadoma tajemnica zamykająca się w imieniu Jouani. Wspomnienie które nas przenosi nagle o dwadzieścia lat odległości od obecnéj chwili, może powrócić naszym oczom też samę wyrazistość i blask, jakie miały podówczas; twarz hrabiny odzyskała żywy rumieniec, który długie lata dolegliwości zatarły; jéj oczy błyszczały wpatrując się w Adolfa, jak błyszczały niegdyś oczy Ludwiki de Clary, zatrzymując się na włoskim malarzu: widzi go znowu w rysach Adolfa, takim go ostatni raz widziała w Neapolu téj nocy, kiedy zabitym został od niewiadoméj ręki.

Wykrzyknik zadziwienia zatrzymuje się na ustach Adolfa; spostrzegając panią de Lerne, jego ręka ściska rękę Edwarda, jak gdyby chciał mu udzielić swoje wzruszenie i owładnąć chęć jaką uczuł rzucając się do nóg i na szyję téj kobiety, która tak jest podobną do jego drogiej i poczciwéj matki.

Edward zrozumiał oboje i serce skacze mu z radości; gdyż pomyślność sprawy któréj się

podjął z takim zapałem, jest teraz zapomnioną.

Czas którego potrzebował do zrobienia kilku kroków, wystarczył aby uczynił to spostrzeżenie tak pełne wspomnień, ale hrabina i Adolf przybyli nad przepaść gdzie myśl niknie dla braku słowa, któreby ją mogło wyrazić, pierwsze słowo które wymówić mieli jedno lub drugie, nie mogło być tak nic nieznaczącém jak to, które do siebie przemawiają spotykając się dwaj cudzoziemcy. To słowo zostawało drzącém i wyrazistém na ich ustach na wpół-otwartych i drgających: Edward który go widział odbijającém się w ich spojrzeniu, pośpieszył być ich tłómaczem.

— Kochana matko, przedstawiam ci przyjaciela którego przypadkiem, napotkałem, nadto poźno, ale im szczęście ma być krótszém, tém musi być żywszém; dla tego też drżę z radości, znajdując się między tobą a nim.

Łza błyszczy w jego oku biorąc rękę matki i kładąc ją w rękę młodego Juani:

— Bądź pani przekonaną! rzecze Adolf, że przysiągłem wchodząc tutaj, iż niczém więcéj

nie pomyśl; jak tylko o saméj przyjaźni, a widząc panią mam mocne i potajemne powołanie abym we wszystkiém był ci posłusznym cokolwiek mi rozkażesz.

— Te kilka słów wymówione z czułością, nie pozwalają dłużéj hrabinie powątpiewać iż Adolf i Edward wiedzą o wszystkiém.

— Kiedy tak, wolą jest moją abyś pan i na przyszłość panował nad sercem Edwarda, któreś pozyskać potrafił! czegom ja, jego matka, dotąd uczynić nie zdołała, gdyż nie byłam wstanie przed nim ukryć łez moich, uzdrów jego umysł, a nie masz poświęcenia ani żadnéj ofiary którejbym nie uczyniła.

— Jesteś więc upoważniony do wszelkiéj władzy dla dopięcia wielkiego dzieła zmartwyhwstania, dalejże do roboty mój lekarzu duszy! polecam ci tylko wytrwanie, bo zamiar jest trudnym do spełnienia, naprzód masz do pokonania potężnego, nieprzyjaciela, co nazywają facultas, wcieloną w osobie włoskiego lekarza zwanego Galjani, o! on ci nie łatwo

przebaczy żeś się ośmielił powątpiewać o jego wyroczni i odwołać do nadziei.

Już od bardzo dawna Edward nie przemówił w obliczu swéj matki w wyrazach tak pocieszających, pomimo szyderstwa które w sobie zawierały, twarz hrabiny zajaśniała szczęściem, chociaż przestał mówić, ona go jeszcze słuchała i zdawała się błagać aby daléj mówił tym samym tonem.

— Nagroda powinna być wielką, dodaje on, wszakże moja matka to powiedziała i przekonany jestem że ci słowa dotrzyma; o! niczego nie będzie żałować aby wynagrodzić tego który ma jéj zachować syna, w takim przypadku dobra matka spełnia z radością poświęcenia od którychby w innym czasie, odstręczały ją miłość własna i duma.

Adolf pośpieszył odpowiedzieć widząc błagające spojrzenie pani de Lerme zwrócone ku Edwardowi.

— Nie posiadam ja téj potęgi którą mi przyznajesz; alboż można się sprzeciwić wyrokom nieba? przyjaźń jest dowcipną kiedy idzie o powrócenie mocy duszy zmiękczonéj

myślą rozpaczającą; jest to walka rozumu przeciwko słabości, a rozum znajduje swoją nagrodę w samym sobie; jeśli nsiłowania moje odniosą zwycięztwo, będę wynagrodzony szczęściem które znajdę w przyjaźni, ani chcę, ani powinienem żądać innéj nagrody, jedno słowo nad to a....

Opuścisz mnie jakeś to uczynił w Lyonie. Jstotnie wypowiadasz wojnę lekarzom czterech części świata! Bezstronność nie jest przymiotem lekarzy, i twoja metoda, jeżeli ją popierać będziesz nie zostanie jednomyślnie przyjętą przez akademją umiejętności medycznych, tym czasem korzystać będę z twego poświęcenia się które znajdzie wielbicieli, ale bardzo mało chcących je naśladować.

Pani de Lerme i Jouani byli w tak fałszywem i przykrem położeniu, iż takowe nie mogło inacéj się ukończyć jak tylko wspomnieniem o przeszłości; oczekiwali na jakie wyzywające wyrazy ze strony Edwarda który stanął między niemi jako pośrednik; ale zapewne nie sądził iż nadeszła pora zaczęcia

swéj roli: zachowywał swe siły dla przekonania matki bez świadków, i nie chciał aby się rumieniła w obliczu tego który chciał aby odniósł zwycięztwo bez walki, dla oszczędzenia swéj matki: chciał aby w jego obecności słuszne powrucenie majątku nastąpiło z czystéj woli hrabiny; dla tego też pomimo wspomnień ich spotkania i pobytu w Lyonie, pomimo planów jakie układali na przyszłość, zabrakłoby żywiołu dłuższemu obcowaniu gdyby nie nadejście Galjaniego.

Slady obłąkania gorączkowego których doświadczył lekarz znikły zupełnie i jego twarz odzyskała zwyczajną wesołość, same tylko oczy bardziéj się iskrzą zwracając się ku Adolfowi, ale ogień który je ożywiał przy wejściu do salonu wkrotce przygasł przez władzę jego woli. On się stał wątkiem ożywionéj rozmowy która się bardzo pożno przeciągnęła.

Wysokie wiadomości Galjaniego we wszystkich sztukach, szczegóły odbytych wędrówek w Syrji, Egipcie i Konstantynopolu, wymowa i zapał z jakim rozpowiadał, obudziły

uwagę Adolfa, który zaszczytnie wytrzymał probę wymowy i dowcipu przez Włocha rozpoczętą z dzielnością pełną zaufania w samym sobie: filozofja, moralność, polityka i poezja po kolei były rozbierane, roztrząsane, popierane przez te dwa umysły gorejące, hrabina i jéj syn nie wiedzieli którego bardziéj z nich dwóch podziwiać, gdyż jeden zaledwie rozpoczynał życie a już posiadał doświadczenie starca, a drugi, prawie przy schyłku długiego zawodu, miał jeszcze całą żywość młodzieńca.

Można było myśleć że chęc popisywania się i podobania podżegała jednego i drugiego, i że nadzieja podchlebnéj dla ich dumy nagrody była im przyrzeczoną przy końcu téj walki; w istocie tak było: Jonani chciał przekonać hrabinę że jego matka dołożyła starania aby dowcip syna wyrównywał wysokiéj godności z któréj ona spadła, a Galjani usiłował pokazać pani de Lerme, że jego dusza, krew, umysł, był młode, gorące, potężne.

Ulegając zapewne wyrzutom swego sumienia

i dawnym uczuciom które Adolf obudzał w jéj sercu, hrabina widziała się być wciągnioną do potwierdzenia śmiałego oporu z którym on walczył przeciw rozumowaniom szyderczym Galjaniego; i Edward także, przez duch sprzeciwieństwa albo przez przychylność którą tchnął dla Adolfa, po raz pierwszy może potępiał wnioski Włocha który od téj chwili zwyciężonym został.

Skromność młodego artysty, uwieńczyła jego zwycięztwo, gdyż podając rękę swemu przeciwnikowi, przepraszał go iż się odważył walczyć przeciwko jego niezaprzeczonemu doświadczeniu, szyderski uśmiech i konwulsyjne ściśnięcie ręki były odpowiedzią Galjaniego, od niejakiego czasu spozierał ukradkiem na zegar salonowy, godzina 10 wybiła i Adolf zabierał się do wyjścia, Edward zadzwonil i służący przyszedł dla odebrania rozkazów.

— Powiedz Franciszkowi ażeby okulbaczył dwa konie, potém obracając się ku Adolfowi dodał: odprowadzę cię.

Galjani zrobił poruszenie które nie uszło uwagi Hrabiny.

— Nadto jest późno Edwardzie, wieczory są chłodne, nieprawdaż doktorze, że to byłoby dla niego szkodliwém?

— I moje jest takie zdanie, odpowiedział zimno Włoch, biorąc swój kapelusz i zbliżając się do drzwi.

— Adolf dołączył swe usilne nalegania do proźb hrabiny i na tem stanęło, że w miejsce wice-hrabiego Franciszek towarzyszyć mu będzie.

Galjani był blady, rzucając swój wzrok pożegnania Adolfowi.

Ten wkrótce wyjechał z zamku z Franciszkiem.

Księżyc wschodził pełny i świetny na poziomie, gwiazdy iskrzyły się jakby w najpiękniejszą noc zimową; wiatr mocny i chłodny wznosił niekiedy tumany kurzawy na drodze, a gdzie niegdzie widać było migające światła; Rodan głucho mruczał, a odgłos jego chyżego biegu mieszał się z szelestem wysokich topoli, któremi wiatr miotał.

Droga, którą przebyć mieli, z zamku do sta-

rego drewnianego mostu pod dachem, była długa i pusta, przybywszy tam Jouani zachęcał służącego, aby powrócił do zamku, a gdy się ten opierał, dał mu wyraźny rozkaz utrzymując, że chce jeszcze nim wróci na folwark korzystać ze świeżego powietrza i zwiedzić brzegi Rodanu, przypatrzyć się skutkom cienia i światła które już pierwéj podziwiał.

Skoro go tylko Franciszek opuścił go, Adolf ruszył żywo na koniu i znalazł się w ciemności która panowała wtenczas pod dachem mostu, ale koń bardziéj lękliwy, albo roztropniéjszy od tego co na nim siedział, zwolnił swój krok pod tem sklepieniem z tarcic zbutwiałych gdzie przenikały w niektórych miejscach promienie księżyca.

Już dojeżdżał do końca mostu, kiedy koń nagle zatrzymał się i pomimo usiłowania jezdca nie chciał naprzód postąpić, wtenczas Jouani spostrzegł przeszkodę która tamowała jego drogę: postać ludzka podniosła się w cieniu, wysokiego wzrostu, nieporuszona i grożąca, nie dozwalając przejazdu jezdcowi, który się na-

myślał przez chwilę, niewiedząc czy ma się naprzód posunąć lub cofnąć, silne uderzenie konia, przymusiło go do puszczenia się z taką prędkością, że wywróciłby każdego, ktoby go chciał zatrzymać, przynajmniéj tak sądził Adolf, ale się omylił, cień podskoczył do góry jak pantera, silną ręką uchwycił za wędzidło koni, , który ze strachu albo z innéj przyczyny spiął się na zadnie nogi tak gwałtownie że byłby zrzucony na bruk, gdyby, dzięki własnéj zwinności i sile, nie zeskoczył zawczasu na ziemię.

Widząc się w niebezpieczeństwie, wydał krzyk trwogi, który się rozległ po brzegach Rodanu, postąpił na kilka kroków aż do miejsca przez księżyc oświeconego, ażeby tém łatwiéj zoczył zbliżającego się nieprzyjaciela: nie dał na siebie czekać młody człowiek, stanął i błysnął w oczy niewolnikowi Galjaniego, klingą ostrego puginału, na ten widok złoczyńca wydał ryk wściekłości; drugi krzyk jeszcze głośniejszy wydobył się z piersi Adolfa, któryby chciał uniknąć walki grożącéj krwi rozle-

wem, wzdrygał się na samą myśl przelania krwi ludzkiéj. Na ten drugi wykrzyk, Abdallach rzucił się na niego, Jouani uniknął tego spotkania, a jego uzbrojona ręka unosiła się i śledziła wszelkie ruchy tego, który go chciał podchwycić, lecz musiała ta walka się skończyć, gdyż głos oddalony, krzyk pochodzący z tamtéj strony rzeki oznajmiał że Adolfowi przybywała pomoc. Afrykanin rzucił się na nowo i wydał drugi ryk, poczuwszy że puginał zranił mu ramię, udało się zbójcy opasać swojemi żylastemi rękami Jouaniego duszącego się w tych objęciach, które wściekłość czyniła jeszcze straszniéjszemi. Nogi Adolfa już opuściły ziemię, i pomimo jego rozpaczających natężeń Abdallach niósł go do rzeki, kiedy nowa rana zadana nieprzyjacielowi, odjęła mu wszelką dzielność, Afrykanin puścił swoję zdobycz i czuł jak się wysuwała z jego rąk otrętwiałych, galop konia dał się słyszéć na moście, Adolf pobiegł naprzeciw Franciszkowi, którego głos poznał, nadeszła ostateczna chwila dla Abdallach, który zaledwie zdawał się módz utrzymać

na nogach, oparty o poręcze mostu; Adolf i służący już byli blizko aby go schwytać, gdy usłyszeli okropny śmiech, jak głos drapieżnego ptaka, i ujrzeli jak z chyżością dzikiego kota, wskoczył w Rodan, słyszeli odgłos jego upadku, po którym nastąpiło głuche milczenie, jeszcze po kilku chwilach, z pośrodka bałwanów rzeki, dobywał się ów śmiech przenikliwy, który napełniał zgrozą Galjaniego nawet i we śnie.

Pierwsze sceny dramatu.

XV.

Franciszek odprowadziwszy Adolfa na folwark, wrócił do zamku, ale ani słowa nie wspomniał Edwardowi o niebezpieczeństwie którego Jonani tak szczęśliwie uniknął.

Edward dobrze noc przepędził, uściskał swoję matkę z takim wyrazem wdzięczności, że na jego rysach zajaśniała świeżość młodości, był szczęśliwym, mówiąc: jéj do jutra, moja droga matko....

Pani de Lerme sama, z wspomnieniami które Jouani w niéj obudził, z listem spiesznie prze z

nią napisanym, zawierającym tajemnicę którą przyrzekła synowi wyjawić, nie może zasnąć, tak jest pomieszaną, liczy wszystkie godziny nocy z utrapieniem pomnażającém się w miarę dnia nadchodzącego, ostatnie połyski nocnéj lampy i pierwszy brzask dzienny oświecają gorzkie łzy spadające z pod powiek nabrzmiałych od płaczu.

Nadchodzi chwila w któréj będzie musiała przytłumić wszelkie niepotrzebne obawy o ofiarę jaką uczyniła Edwardowi: powinienem się dowiedzieć przebudzając o téj tajemnicy, na to mu przysięgła, a teraz nie może się cofnąć, zwłaszcza że sama tego nie pragnie, życie jéj syna zawisło od objawienia téj skrytości.

Nie może powierzyć nikomu tego listu, który trzeba oddać Edwardowi, korzystać musi z jego snu aby to uskutecznić, dla tego też nie kładła się do łóżka.

Piąta godzina wybiła, głęboka cichość panuje jeszcze w zamku, dość jest widno aby bez światła dostać się do pokojów Edwarda, a jeszcze ciemno, aby spotkać na drodze jakiego

natrętnika i obawiać aby się de Lerme obudził, wychodzi ze swojego pokoju dodając sobie odwagi, ale czuje że jéj takowéj zabraknie za najmniejszym szmerem. Odległość oddzielająca ją od pokojów Edwarda nie jest znaczną, a wszelako zatrzymuje się na chwilę, nagle przyszło jéj na myśl, że Franciszek sypia w przedpokoju... gdyby się przebudził... przecież nie ma w tém nic osobliwego, że matka wchodzi o każdéj godzinie do pokoju swojego syna? alboż to po raz pierwszy niespokojność o jego zdrowie ją tam poprowadziła?

Chociaż dokłada wszystkiego usiłowania, aby nabrać odwagi, drżąca przybywa do pawilonu zajętego przez Edwarda. Za pomocą podwójnego klucza otworzyła wielkie drzwi, wszystkie inne nigdy się nie zamykają.

Lekkim krokiem przechodzi przedpokój gdzie się znajduje niebespieczeństwo ktorego się najbardziéj lękała; Franciszek nie przebudził się ale w salonie przymuszona jest usiąść, serce nadto mocno bije, ledwo może oddychać; ostatnie drzwi które jéj pozostają do otworzenia, zdają się jéj nie do przebycia. Jeżeli

Edward nie śpi, będzież miała tyle mocy, ażeby mu list oddać i zaraz potem odejść, czy się odważy uczynić mu to wyznanie ustnie?... o! nie! nie! dosyć już, kiedy sobie pomyśli, że będzie musiała przed nim stanąć gdy się dowie o wszystkiem... o! zapewne, ale... jeżeli potrafi usunąć z umysłu swojego syna, tę myśl nieszczęsną, pewność choroby śmiertelnéj i dziedzicznéj...

Na tę myśl przybyło hrabinie cokolwiek siły, otwiera po cichu drzwi sypialnego pokoju i jeszcze ciszéj przybliża się do łóżka, gdzie on spoczywa.

Światło dzienne nie może przeniknąć okien zamkniętych grubemi okiennicami ale lampa w globusie, ciemnego kryształu, rzuca dosyć światła ażeby można rozeznać przedmioty i przejść przez pokój nie zawadzając o meble. Za pomocą tego słabego oświetlenia, dostaje się do łóżka, siada w głowach i długo się wpatruje w blade i nieruchome rysy Edwarda: sen jego jest spokojny, oddech wolny, nie cierpi, śpi mocno.

Hrabina po raz pierwszy z obawą zapytuje się saméj siebie, czy nie zabije jednym ciosem tego, którego pragnie ocalić? Skutek moraloy wyjawienia, które ma uczynić, nie stanież się raczéj śmiertelnym... niż zbawiennym? Odrzuca tę myśl, jako wymówkę którą jéj nastręcza słabość... kładzie list na łóżku blizko ręki Edwarda, pierwsze spojrzenie przebudzającego się, padnie na ten papier.

Wstaje spokojniejsza, ofiara jéj jest spełnioną, nie ma jak krok zrobić, aby wyjść z pokoju...

— Kto tam? zawoła de Lerme, siadając nagle w łóżku...

Hrabina drżąc cała, zatrzymuje się, gotowa zemdléć, pada na krzesło, nie mając mocy odpowiedzieć. Edward podniósł globus lampy, jasność świecy którą zapalił, ukazała panią de Lerme. — Moja matka! zawoła, uśmiechając się z zadziwieniem.

Hrabina rzuca się w objęcia syna... płacze... łkając...

— Cóż ci się stało, moja kochana matko?...

Nie jest wstanie mu odpowiedziéć, szuka rę-

ką papieru który położyła na łóżku, znajduje go, i pierwsze jéj poruszenie maluje walkę którą z sobą toczy, czy ma okryć nieszczęsne pismo przed oczami syna, albo je zostawić, gniecie je i mnie w palcach a drugą ręką szuka ręki Edwarda jak gdyby mu go chciała wsunąć po kryjomu.

— Ale, Mój Boże! cóż ci jest moja matko?... mówił z cicha de Lerme z twarzą wilgotną od pocałowań i łez swéj matki. Czy potrzebujesz ratunku?...

Ręka szybko sięga do dzwonka dla obudzenia Franciszka?...

— Nie! nie! nikogo nie wołaj, nikogo, rozumiesz mnie... ty jeden powinieneś widzieć moje łzy i wiedzieć przyczynę dla któréj je wylewam...

To powiedziawszy, oddaje Edwardowi papier i wyrywa się z rąk jego, rzuca na niego ostatnie spojrzenie i wychodzi z pośpiechem...

Z oczami zwróconemi ku tym drzwiom które się znowu zamknęły, de Lerme długo czeka jak gdyby się spodziewał że hrabina powróci,

zważając na najmniéjszy szmer, słyszy zamykające się ostatnie drzwi... wyszła!...

Jego wzruszenie doszło do najwyższego stopnia, przypominając sobie że papier który ma w ręku zawiera wyjaśnienie téj tajemniczéj sceny, dowie się o wszystkich tajemnicach swéj matki, tajemnicach dziwnych, może okropnych, ponieważ okrywają się wpośród boleści i zawstydzenia; nie chcąc, przywodzi sobie na pamięć malarza Jouani zamordowanego w Neapolu, myśli o Adolfie, a jego ręce trzęsą się dotykając tego listu który może zamyka wyznanie hańbiące jego rodzinę... Ale pocóż mu objawiają tę tajemnicę? dla ocalenia go, dla dania mu dowodu że nie jest suchotnikikiem, wszakże tak mówiła moja matka.

Edward wyskakuje z łóżka, ubiera się, spostrzega promyk światła przez szpary okiennicy otwiera okno i oddycha świeżém powietrzem którego tak bardzo potrzebował, dla ostudzenia krwi, dla przeczyszczenia swych oczu zasępionych tylu wzruszeniami... łamie pieczątkę.. i czyta: „Na kolanach i ze złożonemi rękami chcę ci objawić tajemnicę którą sądziłam zagrzebaną

na zawsze w głębokiém zapomnieniu. O! uważaj ile cię kochać muszę abym mogła spełnić ofiarę, którą czynię w téj chwili. Prosząc cię ażebyś jéj przebaczył hańbę, jest to małżonka występna, matka żałująca, którą Bóg ukarał w najdroższych przywiązaniu przedmiotach, korzy się przed własnym synem, dla wstrzymania plagi, którą na nią tylko jedną powinien był spuścić. Ale Bóg może chciał natchnąć mi tę ostatnją pokutę, która mnie kosztować będzie łzy krwawe. Chciał ażebym się upokorzyła przed tobą dla ocalenia cię... A ja schyliłam moje czoło zarumienione od wstydu na papier który zamyka ostatni odgłos rozpaczy i moją ostatnią dla ciebie nadzieję. Oszukałam człowieka którego nosisz nazwisko... ty nie jesteś jego synem!... O! przebacz mi, przebacz. Edwardzie, nic już więcéj nie mam ci do powiedzenia. Nie pozostaje mi jak umreć jeżeli ty żyć przestaniesz, umrzeć jeżeli mnie będziesz przeklinał.“

Krzyk zgrozy wydobył się z piersi Edwarda śmiertelna bladość twarz jego okryła, radby powstać, nogi się pod nim chwieją, wzrok ma

posępny i dziki, chyli się i pada bez przytomności na ziemię.

Godzina cała przechodzi bez dania najmniejszego znaku życia. Nakoniec drzwi pokoju się otwierają, krzyk zadziwienia wychodzi z ust Galjaniego: on to który przypadkiem przechodząc się po zwierzyńcu, widział Edwarda otwierającego okno, przyszedł dowiedzieć się przyczyny dla czego wstał tak rano.

Bilet hrabiny jest jeszcze otwarty i leży przy Edwardzie; Włoch niespokojny i podejrzliwy podnosi go, i zamiast ratować nieszczęśliwego młodzieńca, pożera wzrokiem błyszczącym od wściekłości kilka wierszy które hrabina napisała jedynie dla swego syna, ryczy jak lew zraniony i obchodzi wielkiemi krokami naokoło zmartwiałego ciała, ktoś nadchodzi, jest to wierny służący pana de Lerme obudzony przez doktora, wtenczas Galjani podnosi Edwarda i rzuca go na łóżko, chowając list mówi do Franciszka aby pilnował pana, on tym czasem pobieży do hrabiny...

Wyjść potrzebował aby ukryć przed sługą pomieszanie.

Hrabina występna! Edward syn nieprawy!... woła stłumionym głosem zapędzając się w gęstwinę zwierzyńca; oszukała swojego męża! ona i mnie oszukała! I uderza się w piersi szarpiąc swe ciało palcami skurczonemi od wściekłości, cóż robić?... zabić ją... siebie także zabić!... o! zemsto!... i nie widząc o tém powraca ku zamkowi... Zatrzymuje się i uważa na okno hrabiny. Zabić ją... Znowu zaczął się przechodzać przywołując jakiego natchnienia piekielnego; szatan mu odpowiedział; oczy mu się rozszerzają, zdają się chcieć wyskoczyć ze swych miejsc, zwracając się ku zamkowi, wargi mu się na wpół otwierają i marszczą, wyrażają uśmiech szkaradny, prawa ręka wyciągnięta wypręża się w kierunku jego wzroku i zamykając konwulsyjnie swoją pięść grożącą, woła silnym głosem: Teraz jesteś moją! pomimo twéj woli! i bieży do zamku.. przybywa zadyszany, czoło okryte potem... wbiega na wschody prowadzące do pokoju

pani de Lerme, wchodzi i nie słucha głosu służącéj, która mu powiada że hrabina jest niewidzialną, odpycha gwałtem wzbraniającą mu wejścia i mówi do niéj głosem i ze spojrzeniem którego dotąd nie znała.

Ja tak chcę!...

Stawa przed hrabiną....

Na tak nagłe ukazanie się, na widok Włocha którego rysy zmienione mają wyraz szczególniejszy, p. de Lerme zostaje jakby zkamieniałą z zadziwienia i przestrachu; nie jest to już ten Galjani którego widziała i słyszała wczoraj, jest to jakaś postać kąsająca któréj oczy są krwią zaszłe, któréj wzrok ją zabija i napawa serce dreszczem śmiertelnym.

Plecami oparty o drzwi które ze środka zamknął, z rękami założonemi na piersiach które się podnoszą i wydają oddychanie huczące, Włoch przez kilka chwil stoi nieporuszony, zgromadza swe myśli i szuka pierwszego słowa któremby mógł jak piorunem w niwecz obrócić swoją ofiarę. Jego postawa, milczenie, spojrzenie, zdradzają i potwierdzają zarazem burzę która grzmi w jego sercu.

„Cudzołożnico! krzyknął nakoniec, twój syn jest nieprawym!...„

Przerażający głos wydobył się z piersi hrabiny, śmiech szalonego a któryby mógł służyć za echo głosowi Abdallah, jest odpowiedzią Galjaniego na ten krzyk boleści, dobywa potem listu i przystępując do pani de Lerme oddaje:

— Otóż jest dowód... hrabino de Lerme. — Czytaj:

„Oszukałam człowieka którego nosisz nazwisko, nie jesteś jego synem.“

— Zapomniałaś wyrazić w tym liście nazwisko ojca Edwarda.

Zuchwałość Galjaniego powróciła nieco sił hrabinie, wstaje i patrząc na niego dumnie mówi.

— Jakiem prawem zebrałeś ten list który nie był przeznaczonym tylko dla mojego syna? i jakiem prawem także nachodzisz mnie w moim domu, i śmiesz mnie badać?

— Zapomniałaś pani powiedzieś swemu synowi nazwiska jego ojca!...

— Przysłany jesteś przez Edwarda?

— Syn pani umiera, zabiłaś go, i rozumiem że umrze nie dowiedziawszy się o nazwisku kochanka swéj matki....

Hrabina przerażona upada na kanapę, iéj siły i duma opuściły ją nagle. Galjani przysuwa gwałtownie krzesło, siada przy niéj i mówi:

— Złe już się stało, ja jeden mogę je naprawić: posłuchaj mnie pani, znam wszelkie jéj tajemnice, a teraz z kolei trzeba żebyś poznała moje: mógłbym powiedzieć Edwardowi, nie obawiając się omyłki, nazwisko jego ojca, znałem go!...

Hrabina podniosła głowę, patrzy się na Galianego z zadziwieniem, który daléj mówi:

— Ale, ja tego nie chcę, cóż dobrego poruszać popioły umarłych? Jouani opłacił życiem krzywdę wyrządzoną pani małżonkowi....

— Mospanie, on był niewinnym!... przysięgam to mojemu synowi, w obliczu niebios i na pamięć mojego męża!

— Teraz przyszła kolei na Galjanego z zadziwieniem patrzyć na hrabinę.

— Zamordowałeś go dodała, o! widzę to z twoich oczu.

— Ja zaś widzę z twoich oczów że chcesz kłamać w obliczu tych wszystkich, których wywołujesz z grobu. Zazdrość twojego małżonka, moja, nasza zemsta, były prawne, a nawet przypuszczając żebym był tak łatwowierny i uwierzył, ten list mi powiada że pomylliśmy się w osobie kochanka.

— A gdyby też ten list nie był, tylko kłamstwem, zmyślonem przez dowcip i serce macierzyńskie, dla zniszczenia za jednym ciosem myśli, która zabija mojego syna, gdybym miał tyle męstwa, żebym się sama poświęciła na zhańbienie w jego oczach, dla zniweczenia śmiertelnego wpływu téj myśli, cóżbyś powiedział Galjani?

Iskra elektryczna mniéj ma władzy jak te słowa powiedziane głosem prawdy przenikającéj. Włoch zdumiony, przestraszony spojrzeniem hrabiny, które świetnieje czynem bohatérskim, wznosi swe ręce do czoła oblanego zimnym potem, i szepcze niezrozumiale.... O! nie, nie, to być nie może!...

— Przecież tak jest istotnie!

Wstaje w pomieszaniu trudném do opisania, dusi się, uderza w czoło, bełkocze wyrazy bez ładu, przechadza się szybkim krokiem, i mówi nakoniec stając przed panią de Lerme.

— Kobieta — matka nie jest wstanie uczynić takiego poświęcenia, jest to srogi wykręt! Nie, ja temu nie wierzę, kłamiesz!...

— Bóg już mnie karze za moję słabość, gdyż to jest słabością nie być wstanie znieść pogardy: wyznanie którem ci uczyniła nie powinno było nigdy wyjść z ust moich, nie wierz mu, bo się boję, ażeby Edward nie dowiedział się kiedy, żem go zwiodła.

— Ale gdyby to była prawda, byłabyś bohaterką wszystkich matek; upadłbym przed tobą na kolana, dla uwielbienia cię jak jakie bóstwo, ale powiadam raz, że temu nie wierzę.

— Ale zkąd nabyłeś takiego prawa nademną, abyś śmiał wątpić o tém co mówię, abyś się odważył mówić mi w oczy że kłamię?

Nowy promień dumy jaśnieje w spojrzeniu hrabiny, mierząc wzrokiem Galjaniego, który zakłada ręce na krzyż i odpowiada jéj nie spuszczając oczu:

— Traf który mnie uczynił panem twojéj tajemnicy, zrobił mnie także panem twojego przeznaczenia, byłaś panią mojego w pierwszych dniach spotkania naszego w Neapolu, wczasie kiedy świetna zalotnością, zaszczepiałaś miłość w sercach tych, którzy się do ciebie zbliżali a miałaś okrutną rozkosz okrywać ich twoją wzgardą, kiedy upadali do nóg twoich, umieściłaś mnie w liczbie ofiar téj haniebnéj igraszki, od dnia tego zadawałaś mi nieustanne męki, i nadszedł też dzień, żeby ci powiedzieć prawdę i żądać od ciebie wynagrodzenia tego wszystkiego, com dotąd wycierpiał!.., Powinnaś poznać moje męczarnie.... a przekonasz się, iż mam prawo ci powiedzieć, że kłamiesz: gdym cię pierwszy raz zobaczył w Neapolu, dusza moja była dziewiczą i nieskażoną, wstydziła się nieprawéj miłości, którąś w nią natchnęła, myśl aby cię uwieść, oszukać przyjaciela, kazała mi uciekać na obcą ziemię, gdzie po niesłychanych trudach, bezsennych nocach, sądziłem tę miłość na zawsze wygasłą. Kiedym cię znowu zobaczył w Neapolu bawiącą się tą sztuką piekielną którą kobiety posiadają w tak

wysokim stopniu, moja namiętność ku tobie obudziła się mocniejszą, bardziéj gorejącą jak nigdy; zwabiony w twoje sidła... byłem tyle zaślepionym żem żądał od ciebie szczęścia, które mi pokazywałaś w oddaleniu, jakżeś mi odpowiedziała... uśmiechem pogardy! Byłaś cnotliwą!... co za okropna cnota, która otacza się powierżchownością zalotnicy a zasadza się tylko na zuchwałém odmówieniu! nad niewiastą słabą trzeba się litować, ale kobieta do tego punktu mocna, jest poczwarą! człowiek pospolity byłby się od ciebie oddalił, dla ukrycia wstydu z odniesionéj klęski, dla uniknienia twych spojrzeń i uśmiechów drwiących, człowiek mocny powinien był pozostać do twoich rozkazów, do twego życia, do twéj przyszłości: więcéj już jak lat dwadzieścia, jak ci się naprzykrzam, jak nieustannie czycham abyś padła do nóg moich! już więcéj jak lat dwadzieścia, jak ukrywam przed tobą moje serce, takie jakieś go utworzyła, dziś go poznasz gdyż już więcéj nie ma dla nas obojga jutra, podobnego do tysiąca dni, które upłynęły.

— Hańbiące wyznanie któreś dopiero zrobiła twojemu synowi, dla przekonania go że

nie jest suchotnikiem, nie jest zupełném; czy to wyznanie jest rzetelném? lub fałszywém? jest nie użyteczném, a Edward puty mu nie uwierzy, póki mu nie dasz żywego dowodu, i czy to twoje bochaterstwo macierzyńskie czyli też słabość, do niczego więcéj nie posłużą jak do zniesławienia cię razem z nim, nie mogąc utaić jego obrażonéj dumy ...potrzeba mu powiedzieć jutro, dzisiaj nawet, oto jest mój małżonek! oto jest twój ojciec!

— Dokończ, dokończ, Galjani, zawołała hrabina, raptem się porywając z sofy; z przyczyny nagłego przéjścia, twarz Galjaniego zbladła, przybrał postać prawie błagającą drżącym głosem mówi.

— Ażeby Edward uwierzył wszystkim tym kłamstwom, ażeby był połączony dawniejszą przychylnością z tym którego mu przedstawisz, potrzebowałaby byś pani człowieka, który już poświęcił połowę swojego życia dla twoich dzieci, któryby dla nich zrobił ofiarę ze swego majątku; człowieka nakoniec ktorego los umieścił przy nim, aby mu służył za ojca, któryby wąlczył z całém usiłowaniem czło-

wieka i przeciwko chorobie pożerającéj go, człowieka, któremuby nauka objawiła nową nadzieję prawie pewną, dla ocalenia go... któryby go ocalił jeżeli zechcesz... Zatrzymuje się blady i drżący.

— Ale dokończże przecie!

Włoch pada na kolana, wołając jeszcze głośniéj:

— Człowieka nakoniec, któryby przysiągł że ci zachowa syna... któryby zezwolił po raz trzeci upaść do nóg twoich, dla otrzymania od ciebie szczęścia, któryby się nie lękał uniżyć jeszcze dla proszenia cię o twoją rękę.

— Galjani! Galjani!...

— Ludwiko!... twoja ręka... o! błagam cię w imieniu twojego syna, którego uwielbiasz, jak nigdy matka nie uwielbiała swojego dziecięcia. O! wierzę ci teraz, wierzę ci, żal jest zmyślony, ale bezemnie, bez tytułu twojego małżonka, nie dokażesz nigdy, żebyś ocaliła twojego syna; dla niego, dla niego tylko samego zrób jeszcze tę ofiarę: Bóg ci to nagrodzi, będę twoim przyjacielem, twoim niewolnikiem, Edward posiadać będzie całą twoję miłość, serce takie jak twoje

nie może się podzielić, czuję to teraz, ale tyle się nacierpiałem, tytuł twojego małżonka będzie dla mnie zapomnieniem dwudziestu lat cierpień, przysięgam ci na moje życie, że ocalę Edwarda o nie wiesz jeszcze, cobym zdołał dokazać, gdybyś mi tylko dała słowo zezwalające.... Drżąca prawie od zmysłów odchodząc, woła hrabina zakrywając twarz łzami zalaną:

— Ocal go, ocal go pierwéj....

— Ale przyrzeczenie! Ludwiko....!

— Daję ci go, przyrzekam!... Galiani!

— To dla mnie nie jest dostateczném.... twoje oczy niegdyś obiecały mi tyle szczęścia... a gdyby też twoje usta tak mnie zwiodły, jak oczy?...

— Przysięgam ci na to....

— Przysięga!... a jaka? jest tylko jedna przysięga do prawdy podobna... obiecujesz że ją wykonać!

— Obiecuję!.. obiecuję!...

Galiani porywa się z miejsca jak szalony i woła:

— Jest to włoska przysięga, któréj od ciebie wymagam, przysięga jaką kiedyś sam wy-

konałem, że cię nigdy nie opuszczę, podaj mi rękę Ludwiko?

— Cóż chcesz czynić?

— Kilka kropel krwi!... O! taka przysięga tylko krwią zmazana być może.... nie można ją złamać, jest to ugoda na całe życie, aż do śmierci....

— Masz moją rękę, Galiani, ale pamiętaj, że jeżeli Edward umrze, przysięgłam, że go nie przeżyję....

— Przez Boga żywego, który mnie słyszy, na moje życie także przysięgam.... żyć będzie!...

Krew hrabiny wytrysnęła z pod palców Galianego, potém napisała drżącą ręką przysięgę, którą on jéj podyktował, zaledwie mogąc oddychać, tak wielka była jego radość.... Zabiera szacowny papier, całuje z uniesieniem i woła wychodząc:

Teraz dopiero jestem szczęśliwy!

Długa męczarnia.

XVI

Matka i córka nie chciały udać się na spoczynek póki Adolf nie powróci; jakoż za jego przybyciem wielkie było zamieszanie na folwarku: jego bladość i krew którą był zbroczony, nieład sukien, sprawiły śmiertelny przestrach Marcelli i Cecylji. Nadaremnie Adolf usiłuje przekonać że nie jest ranionym i że dzięki puginałowi który z sobą nosi od wyjazdu z Paryża, zdołał się obronić i wyjść zwycięzką ręką z téj nocnéj walki, biedna kobieta nie przestaje bynajmniéj krzyczeć z przestrachu i zgrozy, nieszczędząc mu

ratunku którego nie potrzebuje, Cecylja biega jak obłąkana od szafy z bielizną do téj gdzie się znajdują lekarstwa podręczne, mówiąc kolejno z radością i żalem „jakież szczęście! co za nieszczęście!“

Długo się namyślawszy o wszystkich szczegółach tego zdarzenia, Marcelle zawołała: nie jest to złodziéj!

— Któż tedy ma to być? Wesoło jéj odpowiada Adolf.

— Alboż nie powiedziałam że twoje przybycie do zamku popsuje może wiele zamiarów i nadziei.... bardzo się boję czym nie zgadła!

— Och! panie Adolfie, nie chodź więcéj do zamku, mówiła Cecylja....

— Nie chodzić do zamku! zawoła Marcelle, oh! nie, tego wcale nie wypada czynić: trzeba będzie odkryć prawdę, mamy policję i sędziów w mieście, znajdzie się morderca żywy lub umarły. Jeźli się Bogu spodoba! dowiemy się zkąd przybywa, możebyś mógł go poznać?

— Gdybym był twarz jego zobaczył!

— A jego ubiór?

— Granatowa albo czarna bluza, chustką

głowa związana, i balsztuch wełniany na szyi.... to jest wszystko co sobie mogę przypomnieć. Jest bardzo wysokiego wzrostu i siły nadzwyczajnéj.

— Oh! jakże musiał być straszny! pewna jestem że mi się przyśni! rzekła Cecylja!

— Czy mówił co?

— Ani słowa!....

— Nie jest to złodziéj! jest w tém jakaś straszna tajemnica. Chciałabym doczekać się jak najprędzéj jutra.... dobry Boże! możeby jeszcze dzisiaj było dość czasu do zrobienia wywodu słównego?

— A to na co? to był warjat, może jaki człowiek upojony trunkiem, nie mogę tu mieć nieprzyjaciół.

— Przyszłość na to odpowie, panie Adolfie... miéj się na ostróżności; masz więcéj nieprzyjaciół aniżeli się spodziewasz! jeszcze dni parę poczekaj, a zapewne będę ci mogła więcéj powiedzieć!...

— Dziękuję pani za jéj rady, które pochodzą z rozstropnéj przezorności, noszę ja z sobą dobrą włoską klingę.... puginał mojego ojca

który mi życie ocalił tego wieczora... co mówiąc przypatrywał się z upodobaniem sztyletowi dobytemu z kieszeni...

— Och! schowaj go pan!... zawołała Cecylja.

— Prawda, jest to rzeczą okropną być przymuszonym używać podobnego oręża dla obrony swojego życia!...

— Czemuż go nie ugodziłeś w serce, tego nędznika? możebyśmy dowiedzieli się teraz rzeczywistéj prawdy.

W czasie kiedy oni tak rozmawiali, Abdalach walczył ze śmiercią która mu zajrzała w oczy pod nie jedną postacią: fale Rodanu roztąpiły się a jego nogi dotknęły piasku tworzącego łoże rzeki, nurt gwałtowny toczy się nad jego głową, woda huczy około uszu a krew obficie płynie z szyi i ramienia; piersi ściśniają się i nie przepuszczają oddechu; kręci mu się w głowie i tysiąc myśli w kilku sekundach jedne po drugich następują w jego pomięszanym umyśle bojaźnią śmierci... Chęć zachowania życia natchnęła go do zrobienia rozpaczającego ruchu, uderza nogą

w piasek z taką dzielnością, z taką siłą konwulsyjną, że jego ciało wznosząc się na powierzchnią przebija massę wody zewsząd go tłoczącą,poruszenie dostania się na wierzch rzeki ukośnie przecinało prąd, i pozwoliło mu się zatrzymać na łożysku ruchomego piasku jakich jest pełno na Rodanie, i które rzeka zostawia lub daléj unosi według swego upodobania...

Wtenczas to dla powitania téj ziemi zbawienia i odetchnienia powietrzem, po drugi raz dał słyszeć swój dziki śmiech... ale ten przystęp wesołości wkrótce zniknął; czuje że go siły opuszczają, krew uchodzi z przerażającą obfitością, zniknienie reszty odwagi zostawia go przez kilka minut rozciągnionego na piasku który fale okrywają co chwila... okiem przestraszoném mierzy odległość dzielącą go od dwóch brzegów: z każdéj strony trzeba przebyć pięćset stóp wody aby się do lądu dostać!

Nieporuszony i jakby zmartwiały patrzy na włóczącą się około niego tę ciekłą massę która się iskrzy od światłości księżyca; siedząc za nuró biegiem, złudzenie każe mu wierzyć

że rzeka się zatrzymała i że ława piasku płynie po wierzchu z chyżością zawsze się pomnażającą, już marzy że wkrótce dosięgnie brzegu... mierzy niespokojném i niecierpliwém okiem czy jedna lub druga odległość zmniejsza się.. ale kępa piasku stoi nieruchoma! zawsze się znajduje w pośrodku rzeki!

Ani kawałka tarcicy którаby mu posłużyła za tratwę! Zatrzymuje swój wzrok na moście ku któremu szybko dąży, rozumie że wkrótce się do niego dostanie, przyczepi do słupa lub łyżwy, może będzie miał tyle mocy że się wygramoli na poręcz, jest to ostatnia jego nadzieja!...

Ale nię długo ona pocieszała go, most się oddala w miarę jego zbliżania, wówczas zaczął przeraźliwie ryczeć, znikło omamienie, rzeka płynie a on zostaje w miejscu... przewraca się po wilgotnym piasku który krwią swoją broczy... radby się zsunąć, dać unieść wodzie która mrucząc zdaje się go wołać do siebie, gotów jest spuscić się na przeznaczenie złego jenjusza, swego wyznania religijnego; wczasie gdy ta ostatnia myśl ożywia go znowu, zgro-

madziło się naokoło niego wiele roślin wodnych, chwyta je garścią, trze w palcach, miękczy zębami przykłada potem na swoje rany, pomimo bólu który mu dolega, zatyka wciskając w nie z przerażającą wytrwałością to lekarstwo którego nie zna ani dobroczynnych skutków, ani śmiertelnych wpływów... rozdziera na dwoje chustkę która mu pokrywała głowę... nakłada w obiedwie części grubo piasku i za pomocą tego opatrzenia zamknął jak nazywa bramy śmierci gdyż odwaga znowu powróciła.

Obraca się ku wschodowi, wymawia kilka słów w języku arabskim, rzuca się między bałwany wody i daje się powolnie unosić rzece, oszczędzając tę trochę siły która mu zostaje — przybywa do innéj ławy piasku, odpoczywa, wzywa znowu Machometa — rzuca się na nowo w wodę... i w tym ciasnym archipelagu, z kępy na kępę, i z rafy na rafę, dostaje się nakoniec do lewego brzegu w niejakiéj odegłości od miasta Arles, bardzo blisko zamku hrabiny.

Tak jak bystry biegun który upada wycieńczony wygrawszy zakład na wyścigach, Abda-

lach leży bez tchu na brzegu, połowa ciała jego jest w wodzie, wysoka góra panuje prawie prostopadle nad jego głową, ale już się do lądu dostał, i serce drży mu z radości, chociaż jego członki zmartwiały od zimna i znoju, chociaż mu pozostaje do przebycia zawada prawie do niepokonania.

Takim sposobem upływa godzina, dwunasta bije na wszystkich zegarach w mieście, nie ma się już czego lękać, jego siły ożywiły się, usiłuje wdrapać się na górę prostopadłą którą ma przed sobą; nadaremne są jego natężenia, zatrzymuje go z jednéj strony rzeka a z drugiéj góra, pokaleczył sobie palce, nie może się niemi posłużyć, złorzeczy, przeklina i szuka po ciemku chropowatości których nań potkać nie może.

Wówczas wiodąc swym wzrokiem po nieregularnéj linji wybrzeża, spostrzega, ale bardzo w oddaleniu; że się zniża prawie w równi z rzeką: ile przeszkód do przebycia nim się tam dostanie! zmierza w tym kierunku, szukając zawsze przystępnego miejsca. Ale wzrok

go zwodzi, pochyłość brzegu zdaje się wzrastać w miarę jak dalćj postępuje....

Nakoniec wydaje krzyk radości, spostrzegając łódkę stojącą u stóp tego nieprzebytego wału: lina która ją zatrzymuje, przywiązana jest do szczytu najwyższego, ale cóż to szkodzi! ta lina będzie jego zbawieniem.

Wchodzi do wody, zbliża się do łodzi aż na piasek; lina nie jest wyprężona, wiesza się na niéj całym swoim ciężarem dla doświadczenia jéj mocy, zaczepia się nogami i rękami, a tak zawieszony, posuwa się jak pająk na swojéj nici; zaledwie dostał się do połowy, dreszcz przechodzi po jego nerwach, wstrząsając znużonemi członkami, zatrzymuje się, ściska linę z rozpaczą, mierzy przestraszonym okiem odległość którą ma do przebycia. Nabiera tchu — wzywa Mahometa, — podniósł się na sążeń, potém znowu na jeden, i wreszcie dotyka góry, wspiera się na niéj, oddycha, i już o kilka tylko stóp znajduje się od wierzchołka.

Wtenczas używa innego obrotu, — zostawia wiszącą prostopadle linę pomiędzy sobą i mu-

rem, spuszcza się na samą moc swoich rąk... pomaga sobie nogami, dotyka się nakoniec wierzchu góry, gdzie lina mocą ciężaru wtłoczyła się na kilka cali....

Ale jakże puścić linę, a chwycić się ziemi, która może się oderwać skoro się na niéj wesprze? tak jéj jest blisko, że się dotyka! za daleko jednak aby mógł widziéć powierzchnię! wyciąga do niéj drżącą rękę; palce posuwają się po ziemi, słyszy ją odrywającą się kawałami; odmienia rękę ściskając linę któréj puścić nie może, z niesłychanem natężeniem, jego ręka i ciało kurczą się, powiedziałbyś że sprężyny wszystkich muskułów wyprężają się i że go wyrzucą na drogę, ale nie, spada on wycieńczony, gryzie z wściekłością, zwodniczą linę, zsuwa się i zsuwa aż na brzeg rzeki.

Tygrys afrykański w służbie Galjaniego płacze jak dziecko zbłąkane w piaszczyté) pustyni, siada na piasku, chowa głowę pomiędzy kolana i szlocha nie myśląc po raz pierwszy może w swojém życiu, ani o bluźnierstwach, ani o modłach do swego Boga.... Jest to rozpacz złoczyńcy który tylko mąk i śmierci oczekuje....

Gorączka pali krew jego, dreszcz ziębi, pot strumieniem leje się po czole, ma pragnienie, pije *łzy* swoje....

Czasem podnosi głowę i spoziera na około siebie. Księżyc już się wzbił wysoko, jego światłość odbija się o górę i daje spostrzegać wszystkie najmniejsze szczeliny w ziemi.... Możeby Abdallah znalazł jaki sposób dostania się na jéj powierzchnię.... Ale jego odwaga i siły opuściły go, i jeśli wiedzie swoim bladym wzrokiem po przeszkodzie któréj nie mógł przezwyciężyć, nie jest to dla odkrycia jéj słabéj strony, lecz dla zapewnienia się, czy jaka czuwająca straż go nie zobaczy.... Nagle oczy jego zatrzymują się na jedném miejscu, którego nie mógł dostrzedz, bo dotąd znajdowało się w cieniu: o kilka sążni od łodzi, zdaje mu się że widzi wschody wykute wskale, wstaje powoli, nie tracąc z oczu przedmiotu, obawiając się aby nie zniknął jak jakie złudzenie, bieży i pada z radości na pierwszym stopniu, dotykając się go niecierpliwie dla przekonania się, czy to znowu nie jest jakie omamienie.

Człowiek który dopiero płakał, który był zupełnie przeciwnością znękany, utraciwszy męztwo, skacze teraz z roskoszy, pomyślawszy o daremnych usiłowaniach które czynił dla swojego ocalenia, kiedy od niego o kilka kroków znajdowała się pewna i wygodna droga... Przebywa prawie prostopadłe wschody z taką powolnością, jak ten co się chce nacieszyć dłużej pożądaném szczęściem, na ostatnim stopniu zatrzymuje się, głośno oddycha, a rzucając wzrokiem po raz ostatni na rzekę i na wzgórze nad nią sterczące, wydaje zwyczajny swój śmiech szyderczy, jakby się najgrawał z przeszkód, które zły duch przed nim nagromadził.

Wszelako zostały mu jeszcze niektóre do pokonania jeśli chce powrócić do zwierzyńca i dos'ać się do mieszkania Galjaniego; lecz znał on się dobrze z niemi i wielekroć razy je zwyciężył.

Dobry kawał miał drogi do ciasnego wąwozu w skałach de le Crau równie jak i do podziemnego wejścia którym się dostawał po kry-

jomu do zwierzyńca, wtenczas kiedy był pija-
ny, albo potajemnie wysłany... czuje że nie ma
siły da ujścia stu kroków — ale daleko też
jeszcze do dnia, zatrzyma się skoro uzna że
jest zbyt słabym, gorączka go pożera, ma za-
wrót głowy, język mu przyległ do podniebie-
nia, sen cięży na powiekach, radby się poło-
żyć na zeschłem zielsku, ale obawia się aby
spoczywając nie doczekał słońca... wlecze się
w takim stanie przez godzinę... lecz jego krok
staje się co raz bardziéj ociężałym, powol-
niejszym, w miarę jak wychodzi na wzgórza de
la Crau... jeszcze kilka minut: a dostanie się
do wąwozu prowadzącego do do podziemne-
go przejścia: o! czas aby do niego do-
szedł...

Sklepienie tak jest niskie, że musi na kola-
nach pełzać, probuje czyby się nie mógł tak
zsunąć jak dawniéj, głową naprzód, opierając
się na rękach, pochyłość jest nadto rap̨towna,
a w takiém położeniu, wszystka krew idzie mu
do głowy, która mu i tak goreje jak piec roz-
palony, postanowił spuścić się nogami naprzód,
ale za każdém natężeniem które z przykrością

czyni, upada bezwładnie, już go i odwaga opuściła, zabezpieczony od wszystkiego poszukiwania, w schronieniu prawie od niego nieznaném.

Rozciąga się na posłaniu suchych liści i piasku, nagromadzonych w grocie napływem wody, usypia i marzy o Adolfie, o Rodanie, o linie z łodką i nie przebudza się, aż kiedy promienie słoneczne oświeciły wejście do jego kryjówki, obłąkanie z gorączki pochodzące, męki pragnienia, odrętwienie, palenie w ranach przymuszają go do wydawania jęków, których odgłos obija się o chropowate ściany sklepienia, nowy sen letargiczny ukoił jego cierpienia, nie ocknął się z niego aż dobrze po zachodzie słońca, dziewiętnaście godzin przetrwał na jedném miejscu, bez ratunku, bez jednéj kropli wody, a kiedy otworzył oczy, gorączka przeszła, usta miał odwilżone, siły powróciły, kończy swoję podróż, swoje długie męczarnie, przybywa do domu, i przedstawia się zdziwionym oczom Galjaniego.

OJCIEC, SYN NIE PRAWY.

XVII.

Nim się udał do pokoju, w którym zostawił Edwarda de Lerme staraniom kamerdynera, Galjani zgromadza swoje pomieszane myśli, zdarzenia następują dla niego jedne po drugich z taką szybkością, że prawie od rozumu odchodzi i nawet jego żelazna organizacja na tém ucierpiała. Dotąd trzyma w drzącéj ręce papier, który zawiera przysięgę hrabiny, jéj wła-

sną ręką i krwią napisaną... Ta przysięga która niszczy przeszłość, i zapewnia mu na przyszłość szczęście, która mu wydziera ofiarę i i uwalnia od zgryzoty sumienia; za tę niewzruszoną obietnicę przyszedł jéj oddać Edwarda, wyrwać go śmierci! czyliż tego dokaże?

Wypada mu teraz walczyć ze złém, którego był sprawcą, które ożywiał, podsycał zwolna ze szkaradną cierpliwością, — czyliż tego dokaże? cóżby teraz nie uczynił?

Ale jego radość przerywają niespokojne myśli, cóż robi Abdallach? gdzież się podział?... nurty Rodanu czy unoszą do morza ciało Adolfa Jouani?... Cała noc upłynęła, dzień się już zaczął a żadnego nie słyszy szmeru.

Starając się siebie przekonać że spotkanie nie nastąpiło, że Abdalach nie śmie się przed nim pokazać... wchodzi do Edwarda...

Dzięki staraniom Franciszka, de Lerme wyszedł z omdlenia, ale został pogrążony w ponuréj rozpaczy, któréj stary sługa wcale zrozumiéć nie może, ani ukoić pana słowy i lekarstwem. Edward odrzuca i jedno i drugie i na-

daremnie domaga sie o papier który trzymał w ręku nim upadł na posadzkę....

Poszukiwania Franciszka są próżne, albo Edward jest w malignie, albo Galjani porwał list, którego pierwszy domaga się z wielkim krzykiem.... Ostatni z tych dwoch wyrazów był głośno wymówiony.... i właśnie kiedy Galjani wchodzi do sypialnego pokoju, Edward kazał go szukać i sprowadzić natychmiast.

— Panie Galjani, jakiem prawem zabrałeś list mojéj matki! krzyknął spostrzegając go.

— Abym go usunął z pod ciekawych oczu twoich służących; oto jest!

— Wiesz więc co zawiera?

— Wiedziałem jeszcze pierwéj!

Edward upada na łóżko i twarz sobie zakrywa, płacze!.. Galjani daje znak Franciszkowi aby wyszedł. Sam zostawszy z vice-hrabią zbliża się do łóżka i zostaje w milczeniu.

— Wiadoma ci więc jest sromota mojéj matki, i moja!... Oh! jakież to okrucieństwo objawiać mi tę szkaradną tajemnicę!... nie pozwolić mi umrzeć z tą pocieszającą myślą, oj-

cie mój!... mój ojcze, zwodzi cię, i mnie także zwiodła.... O! co za niegodziwość jaka sromota!

— Edwardzie!... przebacz twojéj matce! wyjąkał Galjani chcąc go wziąść za rękę.

— Ach! panie Galjani! alboż to ja mam jéj przebaczyć, mamże do tego prawo? wolnoż mi ją rozgrzeszyć od takiego występku? Ojciec mój przez nią zhańbiony! do niego to należy aby ją uniewinnił, jest to rzecz mojego.... O! moj Boże! zawsze to imie, ojciec mój! a on nim nie jest, i ten tytuł który mu daję w mojéj rozpaczy, gniewa może jego pokrzywdzoną duszę, nie był on mym ojcem, nieczysta krew płynie w moich żyłach. — Krew jakiego awanturnika, może jakiego zbrodniarza, jestem synem z nieprawego łoża, skradziono imie poczciwego człowieka, dla pokrycia nién sromoty mojego urodzenia.

— Krzywdzisz pan swoją matkę! jesteś jéj synem, szanuj jéj ułomności, zgryzoty sumienia, łzy, miłość którą ku tobie czuje....

— Oh! zapewne, teraz cześć jéj, ona jest nieszczęśliwą, odpokutowała za swój występek..'

Ale niech będzie przeklęty ten niegodziwiec który ją uwiódł! niech będzie przeklętym mój prawdziwy ojciec! niech się spełni na nim przeklęstwo hrabiego de Lerme, jedynego ojca którego znałem!.... Och! odważyłbym życie moje, dla zgładzenia go! Wierzyszże temu, Galjani, iż nie wahałbym się ani na chwilę z zabiciem oblubieńca mojéj matki, aby pomścić się obelgi wyrządzonéj imieniowi które noszę, wylaniem krwi która płynie w mych żyłach....

Edward usiadł na łóżku, jego postawa jest groźną, patrząc na Galjaniego.... Dodaje grzmiącym głosem:

— Możnażby mnie oskarzyć o ojcobójstwo?

— Prawa natury, silniejsze od praw ludzkich, oskarzyłyby pana podwójnie.... Zabijając tego któremuś winien życie, uderzyłbyś za jednym razem i w tę która cię wydała na świat. Zabobon imienia i przesąd honoru zrobiłyby cię ojcobójcą, a gdybyś uniknął kary od praw ludzkich, nie uniknąłbyś głosu udręczonego sumienia, któryby cię ścigał nieodstępnie!...

— Byłeś więc zaufanym powiernikiem mojéj matki?

— Byłem jéj przyjacielem, podporą w jéj ułomności; miałem szlachetny obowiązek osłodzenia jéj zgryzot, osuszenia łez, nim przedsięwzięła spełnić ten czyn bohaterskiego przywiązania, teraz do ciebie należy Edwardzie, zająć przy niéj miejsce i być tém czém ja byłem przez lat dwadzieścia trzy... Dla ocalenia ci życia pozbywając cię téj myśli żeś odziedziczył nieszczęsną chorobę która zabiła hrabiego de Lerme, spełniła poświęcenie niesłychane, które matka mogła kiedy uczynić swemu synowi, sama się skazała na rumienienie w twojém obliczu, i na słuchanie jak ją może będzie przeklinał i krzydził ten któremu po raz drugi dała życie, na klęczkach Edwardzie! na klęczkach winieneś się przed nią pokazać; bo ileż to kobiet, ile matek dałyby ci raczéj zginąć pod ciężarem téj szalonéj myśli, aniżeli chciały tak się zbańbić!...

— Mówisz na klęczkach! O! zapewne, pójdę na kolanach do grobu mojego ojca, hrabiego de Lerme, do grobu mojéj siostry, abym ich błagał o przebaczenie dla niéj! która widziała ich umierających, a sama nie umarła, dla niéj

która sobie zapewne mówiła przy zgonie ka-żdéj ofiary: „ Wolność! wolność! majątek bez podziału dla mego nieprawego syna, dla dziecka, które jest owocem mojéj zbrodniczéj miłości! — Biedna siostra! ona była prawdziwą córka hrabiego, gdyż miała suchoty, dla tego też umarła!... a ja nie jestem w suchotach, uprzedzenie tylko, myśli, toczyło moje piersi, byłoby mnie także przyprawiło o śmierć jaką ona i on pomarli! Oh! nie ma już teraz sposobu, powrócenia mi tego dziedzictwa które mi wydzierają, imie, majątek, nic już więcéj nie chcę!... rozumiesz mnie Galjani!... nic od hrabiego de Lerme, byłoby to nową obelgą dla jego herbu i imienia które wymagają głośnych wynagrodzeń, ja jestem awanturnikiem, nędznym synem z nieprawego łoża... Ach! Boże mój! udziel mi mocy abym mógł uciec z tego zamku, z téj ziemi, od tego dziedzictwa które byłbym ukradł prawdziwym dziedzicom, mnie czeka błędne życie, praca gminnego człowieka... Muszę się postarać o imie i sposób do życia.... jeżeli mnie rozpacz nie zabije!...

— Masz matkę którą winieneś czcić i pocieszać! starać się abyś zatarł skazę zrobioną na twojéj tarczy herbowéj i na imieniu które nosisz i zawsze nosić będziesz, nie jesteś odpowiedzialnym za grzech twojéj matki!... dziedzictwo pozostałe po hrabi de Lerme iest twojém, a zgryzoty sumienia i przykładne postępowanie twojéj matki, Edwardzie, odpokutowały chwilę krewkości, i uprawniły w oczach Boga twoje urodzenie... prawa ludzkie nie znają syna z nieprawnego łoża, światu całemu jest niewiadomą ta tajemnica, chceszże żeby ją rozgłosić? okryć publicznie sromotą twoją matkę! ? chcesz żeby umarła z boleści i wstydu?..

— A ja mamże się ukryć, jak ona ukryła przed całym światem hańbę mojego urodzenia? któż cię zapewni że gdzieindziéj nasza niesława nie jest wiadomą, że pogłoska o niéj nie dojdzie tu kiedyś, że nas nie poda na wzgardę każdego?... Czy on umarł... człowiek który zhańbił moją matkę?

Galjani blady i zmieszany wachał się odpo-

wiedzieć... Uchodził przed kłamstwem które przygotował w swéj myśli.

— Któż on jest, musisz także wiedzieć.

— Nie wiem czy ci mam odpowiedzieć, twoje uniesienie, rozpacz!...

— Mów! mów czegóż się teraz obawiasz? cios jest zadany, rana głęboka, hańba zmazaną być nie może, coż znaczy jaka ją ręka zrobiła, pytam się tylko o imie, moje własne, jedyne którego mam prawo używać... mam prawo o tem wiedzieć... także?... odpowiedz albo się zapytam mojéj matki.

— Poczekaj jeszcze, Edwardzie! potrzebujesz spokojnego umysłu, i rezygnacji dla poznania całéj téj tajemnicy, jak ja równie potrzebuję mocy a może i zezwolenia twojéj matki, abym ci mógł odpowiedzieć...

Galjani wielkiemi krokami przechodził się po pokoju i w pomieszaniu, którego Edward nie mógł sobie wytłomaczyć.

— Jest że więc tak podłe to nazwisko? moja matka musiała się bardzo poniżyć, kiedy się tak obawiasz? o! co za niegodziwość!... a

ona przyczyniła się do przekleństwa i wydziedziczenia swéj siostry z powodu prawéj miłości, swéj siostry, zaślubionéj w obliczu Boga i ludzi, sprawiła, że wydziedziczono dziecię, urodzone z tego uczciwego małżeństwa.... i chce mnie zrobić uczestnikiem, tego ochydnego postępku, mnie, nieprawego syna, którym ukradł imie i dziedzictwo, mnie, spłodzonego z jakiegoś nikczemnego człowieka, którego nazwiska boją się wyjawić przede mną!... O! nic z tego nie będzie... sprawiedliwość dla wszystkich... Galjani!... należy wymierzyć sprawiedliwość, mnie, mojéj matce, Adolfowi Jouani, dziedzicowi prawemu książąt de Clary.... prawemu synowi Marji de Clary i pana Jouani... artysty.,. cóż na to odpowiesz Galjani?... nie jestże to szlachetnie wynagrodzić za jednem zachodem wszelkie błędy popełnione przez moją matkę?

Oczy Edwarda błyszczą wspaniałém uniesieniem, wzrok Włocha jest pałający gniewem. Pomimowolnie zwraca się ku Rodanowi który widzi z okna — żądza piekielna maluje się w tém jego przenikliwém spojrzeniu.

— Nic nie odpowiadasz na to wszystko.... moja matka odpowie mi na to, bądź tego pewny.... powiedziałeś mi że powinienem przed nią upaść na kolana.... zapewne! zapewne! Galjani, ona mnie ujrzy przy swych nogach i wysłucha gdy ją błagać będę ażeby powróciła swéj siostrze i Adolfowi majątek który im chytrze wydarła.

— Nie czyń wcale tego, Edwardzie.... nie czyń tego, nie wiesz że twoja matka nie ma tego prawa.

— I któż jéj to może zabronić?

— Ja!...

— Pan.... A jakież są jego prawa?

— Nie odpowiem na to zapytanie....

— Jak na wszystkie inne... kiedy tak! jako dotąd prawy dziedzic hrabiego de Lerme, zapytuję się ciebie, Galjani, jakie są twoje prawa? odpowiedz jak gdyby to był mój ojciec który się ciebie pytał.

Po kilku chwilach rozwagi, Galjani obrócił się ku Edwardowi i zimno mu odpowiedział:

— W istocie.... mogę ci powiedzieć.... na majątku hrabiego i na dobrach pochodzących z posagu twojéj matki ciążą znaczne kapitały któreby zaledwie wyrównały ich wartości gdyby je przyszło zaspokoić.... pokwitowania podpisane ręką hrabiego są dostatecznym dowodem, gdyby okoliczności tego wymagały....

— Ah!.. to i matka jest także ubogą?

Edward uśmiechał się czyniąc głośno to postrzeżenie.

— Nie! bogatszą jak kiedykolwiek... jeżeli tego chcesz, jeżeli ani słowa jej nie napomkniesz o bezrozumnym projekcie który sobie ułożyłeś.

— A jeżeli go do skutku przywiodę, wierzyciel się okaże i dopomni o zaspokojenie pożyczki, zniszczenie więc majątku mojéj matki dopełnionem zostanie.

— Może to być...:.

— Cóż to jest za człowiek, Galjani?

— Człowiek niezmiernie bogaty!... który zasłonił od upadku hrabiego, poświęcając mu część swojego majątku.

— Jego imię!... Galjani! może nie jest tak obydnem jak imię mojego ojca, nie będziesz się przeto wahał mi go powiedzieć.

— Jest to twój ojciec.... Edwardzie!...

— Ah!... zapłacił on swojem złotem sromotę mojéj matki. Jego imie? Nie brakuje mi tylko jego nazwiska!.... teraz.

— Czy się nie domyślasz, Edwardzie?....

— Nie.... och! nie mogę.... okropne podejrzenie.... o! to być nie może.... powiedz! powiedz! do ciebie należy to powiedzieć.

— Cóżem ci zrobił?

Galjani drżał, zimny pot występował na jego pochylone czoło z pokorą obłudną w obliczu Edwarda, który się w niego wpatrywał z przestrachem i gniewem.

— Ty?... mój ojciec? najlepszy przyjaciel hrabiego! o! co za zgroza! co za zawikłanie, nigdy nie słyszane!... ja twój syn!

— Matko moja! matko moja!... mówiła mi o swéj zgryzocie sumienia, o swych łzach, kiedy od śmierci swego małżonka żyła w tych ochydnych związkach. Przeklęstwo! chciała mnie jeszcze oszukać.

Edward tarza się w rozpaczy po swojém łóżku oblewając je łzami, potem się porywa i patrzy w twarz Włocha.

— Dla czegóż krew moja nigdy do mnie nie przemawiała na twój widok? dla czegóż dziś teraz, z oburzeniem ci się przypatruję tak bliz-ko?... szukając współ-uczucia, wzywając głosu, przyrodzenia który mi nie odpowiada, czyż twoja zbrodnia przecięła tę moc przyciągającą krwi, która powinna przynęcać syna na łono swojego ojca?... Zapewne jakaś władza odpychająca i pobudzona zemstą wzniosła pomiędzy nami dwoma nie przełamaną zawadę, i kazała mi lżyć i przeklinać ciebie? czyliż dusza hrabiego weszła w moją aby mnie natchnąć ałą zgrozą której doznaję patrząc na ciebie? y! mom ojcem!.. temu nie można uwierzyć! niegodziwe najgrawanie się, ten głos krwi! wątpię!... Galjani — żebyś był moim ojcem!...

— Edwardzie, Edwardzie!... wyjąkał Włoch zginając kolano, nie ze wstydu... ale ze wściekłej zawziętości gniewu który miotał wszystkiemi jego członkami...

— Sam nawet nie śmiałeś dotąd nazwać mnie swym synem! wątpisz także zapewne..... zbrodnia została spełnioną... to prawda!... ale któż ci powiedział że ja nie jestem synem hrabiego de Lerme? mnie zaś wszystko w tém zdaniu utwierdza... ja znam siebie, panie Galjani, i umiem o sobie sądzić: szlachetność, otwartość... wielkość duszy — śmiertelne cierpienie, wszystko po nim odziedziczyłem... czy posiadasz choć jeden z tych przymiotów!... uwiodłeś słabą niewjastę, oszukałeś przyjaciela, kryłeś przez lat dwadzieścia i trzy tajemnicę związków nieprawnych... nie masz przeto ani szlachetności ani wielkości duszy; ja nie jestem twoim synem! powiedziałeś mi że prawa ludzkie nie znają syna z nieprawego łoża; odwołuję się więc do praw ludzkich abym się ciebie wyparł, czy rozumiesz to Galjani?

Zuchwalstwo Włocha zostało w niwecz obrócone spojrzeniem i wymową Edwarda, rzuciwszy się bezwładnie na krzesło, Galjani mruczał jakieś głuche wyrazy które on sam tylko rozumiał; były to wyroki śmierci i przeklę-

stwa miotane na tego który się wypierał tytułu syna przez potwarz mu narzucanego. De Lerme nie spuszczał oka z twarzy bladéj i wyrazistéj Włocha, który nadto zmieszany aby się mógł ułożyć, pozwalał czytać wszelkie uczucia swéj duszy na licach się obijające... Edward daléj mówił spokojniéjszym tonem:

— Masz tedy w twym ręku majątek mojéj matki, nabyłeś go ponieważ hrabia wszedł z tobą w ugodę któréj nic nie może zniweczyć, przygotuj się pan okazać twoje prawa; gdyż skoro tylko będę wstanie, nakłonić moją matkę do opuszczenia tego zamku, i szukania gościnności u jéj siostry... W ów czas zapomniemy oboje o wszystkiém, o przeszłości którą nieszczęście zatrze w jednéj chwili... Jestem młody i jeśli nie mam suchot, mogę spodziewać się żyć i pracować dla niéj i dla mnie... Jouani i jego matka przyjmą nas z otwartemi rękami i służyć nam będą za przykład, potrafię zarabiać i utworzyć sobie uczciwy sposób do życia... ale ani słówka o tem pierwéj nim to nastąpi... rozumiesz, ani jednego słowa.

Rozgniewany tą pogardzającą oziębłością

Galjani wychodzi z otrętwienia, staje w całéj swéj wysokości, zdaje się nawet jakoby rosł widocznie i patrząc na Edwarda z kolei wzrokiem pogardy, odpowiada...

— Właśnie też ci przystoi przepisywać jak sobie mam postąpić, chcieć przygwoździć mój język do podniebienia... Milczeć, w ob mojém milczenie i pokora, młodziku! słuchajże mnie teraz, a słuchaj ze spuszczonemi oczyma jak ci wypada zachować się kiedy do ciebie mówię.

Pomimo groźnéj postawy którą przybrał dla obudzenia czci synowskiéj w Edwardzie, ten oparty na łokciu o krawędź swego łóżka uśmiecha się szyderczo na ostateczne natężenia Galjaniego; nie spuszcza na dół oczu łzami zroszonych, przeciwnie, śledzi ciągle wzrok Włocha który się podniósł; twarz jego okryta rumieńcem wstydu i gniewu nie zbladła, rysy jego stały się prawie tak groźne jak twarz doktora.

— Słucham cię, ale nie spuszczając oczu, odpowiada głosem równie mocnym jak jego — pomimo zetknięcia się ich pałających spojrzeń zkąd dobywała się iskra elektryczna któraby

powinna była jednego lud drugiego osłabić, pozostali kilka chwil bez zdziwienia jak dwa orły patrzące na słońce, baczna dążność przyciągała jednego do drugiego. Nie było między nimi więcej miejsca jak pomiędzy pojedynkującymi się na śmierć, długość puinału, albo pistoletu. ich spojrzenia były tak ostre jak koniec jednego, a chyże jak kula drugiego.

— Wojna na zabój! wykrzyknie Galjani z sercem przejętém wściekłością, i zapominając nagle o roli ojca która już mu się stawała, ciężarem.

— Wojna na śmierć! odpowiada mu Edward, ty nie jesteś moim ojcem, gdyż twoje oczy byłyby mnie zabiły, albo moje spojrzenia z twoich wycisnęłyby łzy krwawe... Ty nie jesteś moim ojcem, gdyż nie śmiałbym ci patrzyć oko w oko jak teraz czynię; wojna na śmierć! Galjani, zdrajco, duszo krzywoprzysiężna! Obłudniku!... już więcej nie wątpię!... czy wątpisz jeszcze?...

— Któż tedy z dwóch nas zwycięży, szlachetny synu? nie długo twoja matka zmieni

swe nazwisko, będzie moją żoną, cóż na to mówisz Edwardzie de Galjani!

— Potwarz, równie jak i imie które mi dajesz! nigdy, nigdy moja matka na to nie zezwoli.

— Mam jéj słowo i przysięgę!

— Ja posiadam jéj serce, i zrobię to że się w niém odezwie piorunujący głos hrabiego de Lerme!...

— Niech przekleństwo spadnie na twą głowę!...

— Nie lękam się tylko jednego przekleństwa Galjani; to jest przekleństwa mego sumienia; daleko straszniejsze przekleństwo od twego spadło z nieba gdzie poszła twoja ofiara, przekleństwo mego ojca zhańbionego przez ciebie wyryte jest na twém czole, nie dosięgnie ono méj matki, obronię ja ją stanąwszy pomiędzy nią a tobą, czyli to jestem synem z nieprawego łoża, albo też prawym... dopełniam zemsty niebieskiéj wypierając się ciebie, i przeklinając cię w imieniu Boga i jednego ojca którego przyznaję, teraz wychodź...

— Ale szalonym jesteś, zużywasz twoje siły przeciw żelaznéj woli...

— Trwonię moje siły, mówisz!...

Galjani cofa się pomimowolnie, widząc Edwarda wyskakującego z łóżka i bieżącego zdjąć dwie szpady: jedną daje Włochowi wołając:

— Sprobój, doktorze, czy zdołasz wytrącić z méj ręki tę szpadę? sprobój zgiąć tę rękę która bez zadrzenia przykłada ostrze do serca tego który się mieni być mym ojcem.... spróbój więc Galjani! widzisz dobrze że moja ręka nie drzy, że moje serce nie trzęsie się ze zgrozy mierząc do twych piersi, dreszcz cię przechodzi, ale to z przestrachu: jesteśmy obadwa obcemi jeden dla drugiego, sąd Boga przemówi o nas obudwóch!... Albo moja matka albo ty; ty mi posłużysz za cel.

Włoch łamie szpadę, rzuca jéj kawałki i mówi: bez rozlewu krwi! bez krwi!... Edward rzuca się znowu na krzesło zmęczony: mówiąc z cicha:

— Ach! gdyby on był moim ojcem!... Boże mój odpuść!...

MATKA, SYN.

XVIII.

Nie potrzebował całéj godziny Galjani do o-stałecznego postanowienia o swéj przyszłości i tych osób których nieszczęsne przeznaczenie z nią połączyło: rozdarł gęstą zasłonę którą się od tak dawna i tak starannie zakrywał; stawszy się panem tajników hrabiny i wszelkich swych żądań aby tylko spełnił daną jéj obietnicę, nie chciał ani minutą jedną spóźnić chwilę uderzenia na serce Edwarda.

Ale walka musiała być zaciętszą z tamtéj strony, poświęcenie się macierzyńskie oddało na łup Włocha panią de Lerme; poświęcenie się synowskie, głos krwi, uratowały Edwarda że nie wpadł w też same sidła. Galjani odszedł od hrabiny z sercem pełnem wesela i miłości, opuścił Edwarda z gniewem w duszy i groźbą w ustach: a wszelako powinien go wyleczyć, przysiągł na to; jego ugoda z hrabiną nic nie warta, jeśli nie dopełni warunku na siebie włożonego, ta myśl podwaja jego frasunek, gdyż nie masz żadnego powątpiewania że największym przeciwnikiem jego związków z hrabiną jest teraz Edward, potrzeba Galjaniemu zniszczyć wpływ jaki on posiada do serca swéj matki, a zarazem odwrócić skutki śmiertelne trucizny która krew jego w lód obraca.... pokonać i ratować w tymże samym czasie swego nieprzyjaciela, jest to okropną walką dla umysłu Galjaniego.

Pozostawszy sama, hrabina uradowana dotąd promykiem niespodziewanéj nadziei którą lekarz zabłysnął w jéj oczach, myśli tylko o Edwardzie i szczęściu zachowania go dla swéj tkli-

wości....... On go wyleczy! on go ocali! wykrzyknie czasem oddając się swéj gorączkowéj radości. Ofiara moja nie stanie się bezużyteczną, jemu przyjdzie daleko łatwiéj uleczyć go teraz kiedy wie że nie jest więcéj łupem téj okropnéj myśli która niszczyła skuteczność jego lekarstw.

Ale krew płynąca jeszcze z ręki, zwraca jéj myśli ku doktorowi, i na przysięgę którą mu wykonała.

Ta miłość zachowana z wytrwałością niesłychaną i objawiona dzikiemi wyrazy, teraz ją przejmuje strachem, wymówki które jéj czynił, groźby jakich się przeciw jéj osobie dopuścił, sama nawet obietnica wydarcia Edwarda z rąk śmierci, przychodzą jéj na pamięć, zakłoconą jedyną myślą o swym synie; nie kochała nigdy Galjaniego... ceniła go tylko jako przyjaciela i opiekuna swych dzieci. Przyjaźń wynikła z długiego nawyknienia jest jedyném uczuciem którém dla niego była przejętą, może się tak, że do tego wmięszało cokolwiek politowania. Teraz kiedy przyjaciel ustąpił miejsca kochankowi, kiedy zwodnicza maska okrywająca twarz

Galjaniego spadła, gdy się ukazał z całą swą namiętnością, mienił się być jéj władcą, przyjaźń zgasła w sercu pani de Lerme, czuje że go nienawidzi, i że na samo wspomnienie połączenia się z nim kiedyś, dreszcz zimny ją przejmuje.

W tém nagła myśl przychodzi pomnożyć jeszcze bardziéj jéj zgryzotę; więc on dotąd nie czynił wszelkich usiłowań dla uleczenia Edwarda, kiedy dopiero teraz przysięga że go ocali; pozwolił zatem umrzeć jéj córce dla podwojenia nagrody któréj żąda za wybawienie od śmierci Edwarda, dla obłąkania jéj miłości macierzyńskiéj i obrócenia onéj na korzyść swéj namiętności, to przypuszczenie staje się dla niéj promieniem światła oświecającym przeszłość, i które dozwala dostrzedz prawdy ukrywanéj przez Galjaniego, drży ze zgrozy, i usiłuje oddalić od siebie tę myśl która powraca zawsze potężniéjszą, przypominając sobie każde jego słowo, zbiera wspomnienia do wspomnień, przychodzi aż do morderstwa artysty Jouani do którego się przyznał, a powracając z tego punktu do wszystkich postępków Galjaniego od owego

czasu, dreszcz ją przejmuje z przestrachu, pomyślawszy że poruczyła swe dzieci staraniom tego człowieka który przez lat dwadzieścia żył tylko jedynie dla pomszczenia się.

Przypomina sobie równie że to on był zawsze, on który się sprzeciwiał najmniejszéj nadziei pochodzącéj z serca, gdy Edward i jego siostra mieli się lepiéj. Jacyż ludzie wezwani byli do naradzenia się z Galjanim? lekarze bez żadnéj wziętości! oślepieni może słynącemi talentami Włocha. Nie nalegała aby do téj narady przypuszczeni zostali najsławniejsi w okolicy lekarze. Powierzyła ślepo w jego ręce życie swych dzieci: ta myśl truje jéj serce, narzeka i oskarża jako uczestnika, swe ślepe zaufanie.

Z szybkością błyskawicy porywa się, siada do stolika, i kreśli na prędce list z którego udzielimy te kilka wyrazów:

„ Idzie tu o zachowanie syna matce, ona to błaga pana na klęczkach z oczami pełnemi łez, abyś za odebraniem niniejszego przybył tu pocztą... Na całym mym majątku zapisuję mu moją wdzięczność. Oh! upraszam go tylko abyś

się i o dwie doby nie spóźnił, staniesz się bez wątpienia moim i mojego syna wybawcą.

Ten list odszedł wkrótce z Arles do Marsylji pod adresem lekarza którego sławne imie znanem było hrabinie.

Siły odstąpiły biedną matkę, — nie pozostały jéj jak tylko same łzy rezygnacji, dopóki nie nastąpi koniec tylu sporów, ofiar i obawy nim także nadejdzie ta chwila w któréj musi się okazać w oczach swego syna, dla którego się zhańbiła, może bez potrzeby.

Klęcząc przed wizerunkiem Boga-Rodzicy, długi czas pozostała nie mogąc znaleść słownéj modlitwy obejmującéj życzenia któreby pragnęła jéj przesłać, łzy zalewają karty książki od nabożeństwa, ku któréj twarzą pochyliła się, taką jest ofiara którą składa u stóp pocieszycielki utrapionych na tym samym obrazie świętéj księgi gdzie Najświętsza Marja płacze u nóg ukrzyżowanego Syna.

Edward wpadł w głębokie otrętwienie umysłu, siedząc przy oknie otwartém, chociaż w lekkiém ubraniu, nie czuje bynajmniéj powiewu mroźnego, jego czoło rownie jak i piersi

są rozżarzone, z rękami złożonemi i twarzą spuszczoną, podaje się bolesnemu marzeniu. Umysł i serce wahają się nie wiedząc co począć, czyliż to jest jego własny ojciec którego znieważył, albo jaki potwarca przekupiony od jego występnéj matki? pomimowolnie ma w podejrzeniu swą matkę, gdyż nie śmie pomyśleć ażeby człowiek mógł tak bezczelnie kłamać, nie będąc upoważnionym przez swą uczestniczkę. Ale czy to on jest jego ojcem? ta jest myśl najdolegliwsza, zapytanie to czyni swojemu sercu, swéj krwi które się bynajmniéj nie oburzają mysłą że się poważył zagrażać życiu tego człowieka.

Ale jeżeli głos przyrodzenia nie odezwał się, albo jeżeli go nie zrozumiał? ta wątpliwość która się oddala i ustawicznie powraca do jego umysłu, długo mu przeszkadza pomyśleć o wyznaniu uczynionem mu przez matkę i o pobudce która je spowodowała. Powoli wielkość poświęcenia które spełniła przychodzi mu przecież na pamięć, kładzie potém tę wartość na wagę swego własnego wstydu: jakie wytrzy-

wać musiała walki, między swą kobiecą dumą i miłością macierzyńską, nim uległa temu ostatniemu uczuciu. Wolnoż mu jeszcze powątpiewać o wyznaniu Galjaniego, kiedy wyznanie jego matki go poprzedziło, jakichże dowodów mógłby na dto wymagać?.... ¡Gdyby Włoch powrócił, Edward zwiedziony możeby mu upadł do nóg błagając o przebaczenie za bluźnierstwa których się przeciw niemu dopuścił.

Nie jestem suchotnikiem, wyrzekł, wstając i przechodząc się. Jakże więc nazwać tę chorobę która mi piersi pożera? dla pozbawienia mię téj myśli nie powinienże był mi powiedzieć nazwisko téj niepojętéj choroby, albo czy ona tylko znajduje się w mojéj wyobraźni? O! moja matko! moja matko! cóżeś uczyniła? pocóż mi było objawiać tę nieszczęsną tajemnicę? zdaje mi się żem wczoraj daleko mniéj cierpiał....

Matka i syn schronieni każde w swoich pokojach, zapytywali się samych siebie, jak się odważą pokazać jedno przed drugiem, pani de Lerme drżała na najmniejszy szelest i zdawało jéj się słyszeć kroki swego syna, Edward drżał

równie z bojaźni aby nie zobaczył ukazującéj się matki.

Wszelako nadejść musiała ta chwila, Edward się domyślił że do niego należy uczynić pierwszy krok, długo się ociągał nim się na to zdobył, hrabina przebyła połowę dnia płacząc i w żywéj niespokojności, wielekroć razy posyłała dowiadywać się jak się ma de Lerme nie wychodził wcale z pokoju i zaledwie odpowiadał na zapytania swéj matki....

Zmartwienie jéj pomnażało się z każdą upływającą chwilą... Pogardza mną, myślała zanosząc się od płaczu!...

Nakoniec krzyknęła z radości i przestrachu gdy jéj oznajmiono że syn nadchodzi, ledwo że pośpieszyła usiąść, tak nogi chwiały się pod nią.... Była prawie omdlałą kiedy wszedł.

Edward blady, zmieniony, i z oczami na dół spuszczonemi, czekał aby służąca wyszla z pokoju, gdy sami zostali, nie na matkę pada pierwsze jego spojrzenie ale na portret hrabiego de Lerme, zadrżał i śpiesznie postąpił kilka kroków w chęci oderwania od muru tego obrazu gdzie wisi więcéj od lat dwudziestu; myśl okro-

pna, obelżywa dla jego matki, nagli go aby wyrzucił z pokoju ten wizerunek, w którym podług niego, musiał okrywać się wstydem i trząść od gniewu, ale na widok hrabiny pogrążonéj w żalu zawołał:

„ Przebacz jéj mój Boże, przebacz jéj mój ojcze, jak ja jéj przebaczam!

Na te słowa pani de Lerme nie może więcéj ukryć swego płaczu, jéj łkania dają się gwałtownie słyszeć, i wyciągając ręce ku Edwardowi, chce także uklęknąć, ale byłaby padła na posadzkę gdyby syn nie pośpieszył ją zatrzymać...

Pozostali długo w objęciach, pirrwsze słowa które Edward zdołał wymówić były znowu: Pocóż mi było wyjawiać tę nieszczęsną tajemnicę?...

Hrabina oczy mając zalane łzami i wpatrując się z niespokojnością w syna, odpowiedziała:

— Dla czego?... alboż ci nie mówiłam?...

— Lepiéj mi było zostawić moją wiarę jeśli istotnie życie moje zawisło od téj myśli, którą chciałaś zniszczyć.

—Czy jeszcze byś o tém powątpiewał.

— O bynajmniéj! ja teraz o niczém nie wątpię i żałuję mojéj niewiadomości!...

— Trzeba było więc abym ci pozwoliła umrzeć?

— W rzeczy saméj byłem wczoraj tak szczęśliwy... a dziś jestem tak nieszczęśliwy!...

— Edwardzie! nie masz więc nade mną litości?...

— Matko moja! nad tobą ja tylko łzy wylewam!...

— Spodziewałam się twoich wyrzutów, twojéj pogardy, przewidziałam wszelkie zgryzoty które się zaczynają dla mnie tak okrutnie, ale trzeba było ci dać ten ostateczny dowód mojéj miłości macierzyńskiej, gdyż przysięgam ci Edwardzie że jedynie tylko dla ocalenia ciebie wyjawiłam tę tajemnicą.

— Och! matko moja, nie przysięgaj tylko....

— Powtarzam że przysięgam ci...

— Mam dowody przeciwne.

— Jakież one są? mów, Edwardzie, zaklinam cię!

— Przysięga którąś się zobowiązała Galjaniemu.

— Jakże on śmiał ci to powiedzieć?

— Wykonałaś przysięgę że oddasz mu swą rękę!

— Oh! mój Boże, on mu to powiedział.

— Matko moja, on mi wszystko powiedział.

— Jest to jeszcze jedno poświęcenie się które spełnię, jeżeli dotrzyma danego mi przyrzecznia... jedynie także dla ciebie zobowiązałam się tą przysięgą: ty nie znasz mojego serca Edwardzie...

— Cóż ci Galjani obiecał?

Czyniąc to zapytanie, w rysach Edwarda malowało się gorzkie szyderstwo.

— Zaprzysiągł że cię wyleczy!

— Ach! nie byłaś więc przekonaną o zbawiennym skutku twego wyjawienia... wyleczyć mnie, a z jakiejż więc choroby?... musi być zatém śmiertelna kiedyś tyle obiecała?

— Jak ty jesteś okrutny, Edwardzie, i dla siebie! i dla mnie!

— Oh! nie, nie myśl ażebym przeciw tobie chciał zwrócić gniew któregom doświadczył od czasu jakem widział Galjaniego, czytając twój list po tysiąc razy umierałem z boleści... ale Galjani... Oh! on mi nie sprawił boleści, ale obudził we mnie zgrozę i nie potrafię wytłómaczyć sobie uczucia jakiém ku niemu jestem przejęty, nawet i po jego wyznaniu...

— Co za wyznanie?... cóż on miał ci do wyznania?

— Alboż to nie z twego rozkazu przychodził do mnie?

— Ja cię nie rozumiem, Edwardzie, dokończ że!!....

— W twoim liście zamilczałaś o imieniu... mego ojca, on mi to powiedział.

— Oh!..., och! to niepodobna!.... on zaś śmiał!

— Czemuż on go nie miał powiedzieć?... nie byłbymże go od ciebie się dowiedział?...

— Jakież ci przecie nazwisko wyjawił?

Oczy hrabiny gniewem pałały.

— Na cóż się zda to pytanie, i jakąż jeszcze tajemnicę chcesz przede mną ukrywać? ponieważ hrabia de Lerme nie był moim ojcem lepiej że Galjani sam wyznał jakie ma do mnie prawo aniżeli ty sama, moja matko! Jest to jedno wyznanie mniéj które masz uczynić!...

— Oh! jakaż zuchwałość... niegodziwiec!... zawoła pani de Lerme wstając nagle, śmiałże ci to powiedziéć?... Galjani!... Galjani!... jeszcze kilka dni, a dowiem się czem ty jesteś.

Hrabina w największym gniewie chodzi po pokoju rozmawiając sama z sobą. Edward ściga ją wzrokiem pełnym przestrachą i woła:

— Boże mój cóż jeszcze przede mną tają? jakiż to zbiór szkaradnych intryg! oh! matko moja, wyjaw mi prawdę abym położył koniec wykrzywdzącym cię myślom, oh! nie mogę ci wytłomaczyć co myślę, moja matko... Umarłbym u twych stóp, nimbym się poważył tak cię urazić, jakem zhańbił Galjaniego...

Zamiast odpowiedzieć, hrabina rzuca się na

szyję Edwarda i przyciska go z czułością do swojego łona...

— Proszę cię o tę łaskę!... powiedz mi czy on jest mym ojcem?...

— Zostaw mnie Edwardzie, łaski twojéj żądam na dzisiaj; widzisz... że zmysły utracam...

— Jedno słowo, jedno tylko słowo!

— Nie! nie!... nie teraz... nie mógłbyś wierzyć ani słowa cobym ci teraz powiedziała....

Edward znękany pada na kanapę.

— To jest nazbyt cierpień, rzecze stłumionym głosem, wolę śmierć tysiąc razy, aniżeli żyć w takim stanie!... wczoraj mój Boże! pełen byłem nadziei, byłem uczciwym człowiekiem, miałem matkę przed którą padłbym był na twarz z uszanowaniem.... miałem imie, ojca, dziś nic nie posiadam z tego wszystkiego.... nic nad to że jestem synem z nieprawego łoża!... i nie wolno mi dowiadywać się o nazwisku mego ojca.... Przychodzi jakiś człowiek okryty tym tytułem i nie nazwał mnie swym synem ani jednego razu.... moja matka nie śmie

przyznać jakie on ma do mnie prawo, lub też mi powiedzieć czy on jest potwarcą.... nie śmie nakoniec mi wyjawić rozwiązania téj zagadki która zdaje się zawierać okropne znaczenie!

Hrabina z twarzą zakrytą rękami, upadła na kolaną przed obrazem Boga-Rodzicy.

— Rozumiano że dosyć mi powiedzieć: Zwiodłam hrabiego de Lerme, ty nie jesteś jego synem... ażeby mi powrócić spokojność, zdrowie, szczęście.... czyż sądziliście że nie mam duszy, honoru? dla tego że jestem owocem związków niegodnych, myślano że wszelkie uczucia szlachetne były mi obcemi, że zapewnienie macierzyńskie będzie dla mnie dostatecznem, że nareszcie dziecię z nieprawego oża nie powinno mieć serca.

Pani de Lerme, głosem łkającym zaledwie wyjąkać zdołała:.. przebaczenia! przebaczenia!.... Boże mój! cóżem uczyniła!... Ale Edward jéj nie słyszy, wstaje, zbliża się ku niéj i mówi:

— Słuchaj, moja matko, chceszże w jednéj chwili zagoić straszną ranę którąś mi zadała, powrócić mi szczęście, może i życie?

Na te słowa hrabina podnosi ku niemu oczy zroszone łzami.—Jeżeli ten człowiek ma w swéj mocy i twoją wolę i majątek hrabiego de Lerme, i jeśli rości sobie jakie prawo przewodzenia nad tobą używając na swą korzyść błędów przeszłości, zerwijmy bez obawy wszelkie z nim związki, dziś jeszcze.... Nie możemy go wypędzić z tego zamku, ale my z niego wyjdźmy, moja matko, z dumą na czole. Hrabia de Lerme zmarnował twój posag przez swoją rozrzutność, przestańmy na niedostatku jaki nam pozostawił, ty moja matko dla odpokutowania za swoją ułomność, ja, dla pozostania prawym synem w oczach gminu... Jeżeli ta była przyczyna dla któréj milczałaś, Galjani tego nie uczynił, on mi starannie wytłomaczył żeś nie miała żadnego prawa powracania części dziedzictwa należącego się twéj siostrze, że część tobie przynależna była równie zadłożoną, tudzież iż posiada na to wszystko dowody pisane ręką hrabiego. Ten co się mienił być mym ojcem, chciał mi się dać poznać za takiego przez groźby. Zdaje mi się że wszystkiego teraz dociekłem. Chwila obłąkania uczyniła cię jego niewolnicą, nie śmiałaś mi wszystkiego powiedzieć, bojąc się aby

jego gniew nie spadł na mój majątek... ażeby mnie nie przywiódł do nędzy... nie lękałaś się go dla siebie ale dla mnie, jest to nowa ofiara na którąś się poświęciła... Widziałem dopiero w oczach twoich że go nie kochasz; żeś go może nigdy nie kochała... żeś zapewne prze-żyła lat dwadzieścia obok niego w zgryzotach sumienia, że pamięć hrabiego de Lerme jest ci zawsze drogą, bo widzę jego obraz w twoim pokoju, wszystko nakoniec mnie przekonywa że tu nigdy Galjaniego noga nie postała, gdyż żadna kobieta nie byłaby wstanie przyjmowa-nia odwiedzin swego kochanka w obliczu por-tretu swojego małżonka, i przed wizerunkiem téj Boga-Rodzicy?...

Hrabina płakać przestała, podniosła się i spogląda na syna oczyma jaśniejącemi rado-ścią.

— Oh! Edwardzie! nakoniec oddajesz mi sprawiedliwość! zawołała wyciągając ku niemu ręce.

On pada przed nią na kolana.

— Moja matko! kochana matko, jeszcze je-dno słowo: tyle szanuję imie które noszę, tak

mam na pieczy honor mojéj matki, iż chciałem zmazać jedną skazę którą w ówczas na nim widziałem, miałem zamiar powrócenia ci twéj siostry, nakłonić cię abyś jéj otworzyła twe serce, abyś nakoniec oddała jéj sprawiedliwość. Jéj majątek jest stracony, ale to co jéj dziś powrócić możesz, jest serce siostry. Oh! trzeba, trzeba teraz złożyć całą pychę u stóp naszych; ubożsi jesteśmy od niej, od niéj też będziemy żądać pomocy i przebaczenia. Pewien jestem jéj serca, jak jestem pewny serca Adolfa, widziałaś go, zrozumiałaś, będzie naszym tłómaczem... a wdowa Jouani, szczęśliwsza od nas, nie będzie miała mocy robienia prawych wyrzutów wdowie hrabiego de Lerme...

— Oh! mój drogi, mój synu! tak się stanie we wszystkiém j k żądasz, ale słuchaj, zaufaj tylko słowom twojéj matki; za ośm dni, może prędzej, wszelkie twoje życzenia, więcéj nawet jak się spodziewasz przyjdą do skutku, do tego czasu uspokój się, znoś obecność Galjaniego, pozwól niech na staranie o twém zdrowiu, jak dawniéj... Oh! staraj się tylko nie rozdrażniać go! Niech się nie domyśla żeśmy się nim zaj-

mowali... Dla twojego bezpieczeństwa nie mogę ci powiedzieć, dla mego... wreście? może i dla bezpieczeństwa Adolfa.

— Cóż to jest za człowiek, zawoła Edward przejęty zadziwieniem...

— Oh! jestem w malignie... Na miłość Boga Edwardzie, nie przymuszaj mnie do mówienia... sam widzisz dobrze że mam pomieszane zmysły...

Po czem matka i syn w ścisłych objęciach długo zachowali milczenie które nakoniec przerwaném zostało przybyciem Adolfa Jouani.

Kielich z nieprzyjacielskiéj ręki.

XIX.

Ośm dni upłynęło od czasu rozmaitych wypadków i zdarzeń któreśmy dopiero opisali.

Dotknięty nadto bolesném zmartwieniem, Edward poczuł opuszczające go siły codziennie, mocna gorączka przeszła do jego krwi, Adolf i hrabina są nieodstępnemi przy jego łożu. Edward nie może ścierpieć aby oprócz nich

kto inny go pielęgnował: nadewszystko widok Galjaniego powiększa jego szalone obłąkanie; wyrazy szczególnego gniewu wydobywają się z jego spiekłych ust. Adolf nie pojmuje zkąd pochodzi tak nagła odraza wice-hrabiego przeciw Włochowi.

Nie może jéj przypisać jak tylko osłabieniu całego organizmu w chorym. Hrabina tłumi swoje łzy przed Edwardem i Adolfem, biedna matka, pomimo przyrzeczenia Galjaniego, znosi męczarnie, niespokojność pożera jéj serce — nie odebrała odpowiedzi na list swój pisany do pierszego lekarza w Marsylji, stan Edwarda zdaje się pogorszać, Galiani, który zdawał się z początku być dość spokojnym, teraz jest pomięszany, wzrok hrabiny przypatruje się jego twarzy gdy korzystając ze snu chorego, przychodzi rozpoznawać postęp choroby i zgadywać jakie ma przepisać na nią lekarstwa; on także zdaje się słabieć; blady, oczy w dół zapadłe; zdawałoby się, że istnienie teraz Edwarda przywiązane jest do jego życia; już od czterech dni Włoch nie zażył ani chwili spoczynku; zamknięty w swojéj pracowni, śledzi wszelkie

pisma ojców sztuki lekarskiéj, szuka jakiéj istoty dla zniszczenia zarodu zabójczego który tak głęboko wkorzenił w krew pana de Lerme. Dotąd wszelkie jego usiłowania okazały się bezużytecznemi, wszelkie próby bez najmniejszego skutku. Gorączka robi postępy śmiercią grożące, już dochodzi do mózgu, maligna co chwila staje się straszniejszą, i pomimo darennéj zgryzoty sumienia i lubo zna źródło złego, Galjani przeklina umiejętność nie mogącą mu przyjść w pomoc i zasadzającą się na samych domysłach.

Zaledwie hrabina kilka słów do niego przemówiła; żałość jéj jest niemą i zdającą się na wolę Boga; żaden znak zachęcenia, żadne spojrzenie błagające dla podniecenia jego wytrwałości, dla okazania nagrody która go czeka, nie pokazało się na jéj licach, ta oziębłość w czasie kiedy on usiluje zachować jéj syna, przenika serce jego wściekłością bez granic, którą ledwo może przytłumić: a Adolf Jouani jest tam zawsze nieodstępny, bez którego Edward nie może się obejść, równie jak bez swéj matki,

ów młodzieniec wyrwany jakby cudem ze strasznych rąk Afrykanina Abdallach! Galjani złorzeczy piekłu że się przeciw niemu sprzysięgło.

Edward usnął spokojnie. Hrabina zajęła miejsce Adolfa który przepędził noc przy łożu swego przyjaciela. Nim się zabierze do krótkiego spoczynku, Jouani chciał korzystać z pięknego poranku dla zwiedzenia zwierzyńca pałacowego, udał się w stronę którą mu chwalono jako najbardziéj malowniczą: właśnie tam leży Dolina djabelska, któréj powszechna słynność aż do niego doszła.

Im daléj przechodził pod ciemném sklepieniem tego labiryntu zielonego, tém położenie stawało się górzystszem i okazywało w odstępach próżne bez drzew miejsca, gdzie są jakby posiane skały dziwacznie ręką czasu ukształcone. Postępuje z zadziwienia w zadziwienie, i za każdym krokiem domyśla się ile kosztowało usiłowań oczyszczenie téj zdziczałéj natury, porobienie wygodnych chodników, i odkrycie zajmujących w oddaleniu widoków. Natura nie jest powykrzywianą ani pod sznur zrównaną

urozmaicono tylko jéj strój, stosownie do jéj widzimisię: tam zalotna i kwiecista; tu jałowa i groźna, potem posępna i foremna, albo tajemnicza i przyjazna miłostkom, lub też zalana światłem, powietrzem, okryta murawą i mchem aksamitnym. Nie masz nic powtórzonego, a oczy nie mogąc znaleźć tego samego promienia, nie zdołałyby dwa razy uchwycić tegoż samego widoku. Pojmujemy i można opisać dziwy które umiejętna ręka człowieka zostawiła w Wersalu i w Chantilly.... ale to co ręka natury rzuciła trafem, nie jest do opisania; samo malarstwo ma dar rozebrania niektórych cząstek — albo oddania ogółu bez rozbioru...

Adolf stanął nakoniec u celu swych poszukiwań: Dolina Djabelska znajduje się u stóp jego... Mieszkanie Galjaniego jest pierwszym przedmiotem który przyciąga jego spojrzenie, z początku nie może rozpoznać tylko jego kształt dziwny, na pierwszy rzut oka zdaje mu się być skałą rzuconą w głębię zgasłego wulkanu. Schodzi na dół drożyną wężykowatą między krzewiną aż na dolinę: w miarę zniżają-

céj się drogi, dom zdaje się wyższym. Nim do niego się dostał, młody malarz mógł się do woli nacieszyć rozmaitemi widokami.

Nakoniec postrzeżony został od Galjaniego i i od Abdalah, który wydał ryk poznawszy go; mulat czuje że jego rany zagojone znowu, go dolegliwie bolą.

Pomimo zapewnienia które otrzymał, że Jouani nie mógł poznać swego mordercy, że żadne podejrzenie nie zagraża Afrykaninowi, Galjani zbladł i pierwszą jego myślą było ukryć się przed wzrokiem Adolfa. Ale już było za późno...

Mając bardziéj powód zbliżenia się do Galjaniego niż chronienia się przed nim, gdyż chęć doniesienia mu o zdrowiu chorego może posłużyć za wymówkę ciekawości, Jouani wstępuje na wschody przed gankiem.

Przywitanie z początku ze strony Galjaniego było oziębłe, wachające się, i nie bardzo serdeczne, ale powziąwszy wiadomość że Edward spokojnie i twardo zasnął, Włoch wykrzyknął z radości: jest ocalonym! — dzielność młodego temperamentu pokonała jad choroby — nie

śmiałem spodziewać się tak prędkiego i pomyślnego skutku. W uniesieniu radości, nie namyślając się, Galjani podaje rękę Adolfowi jakby mu dziękował, ten ścisnął ją serdecznie — szczęśliwy iż się dowiedział że jego przyjaciel wyszedł z niebezpieczeństwa, mniema że radość doktora pochodzi z przyjaźni dla Edwarda.

Gdy się to skończyło, młodzieniec oświadczył swoje zadziwienie nad szczególnością samotnego schronienia Galjaniego.

Z taktem i zręcznością dowcipu artysty, tak nieznacznie potrafił podchlebiać dumie doktora, że ten pozwolił mu zwiedzić swoje mieszkanie w największych szczegółach: prócz tego przekonał się że Adolf nie miał żadnego podejrzenia, gdyż oblicze jego nadto wyraźnie malowało otwartość, pochwały które mu dawał były szczere: w istocie wyższy też tylko jenjusz, wykształcony smak, był wstanie zgromadzić w tak ciasném miejscu, i to jeszcze z wschodnim przepychem, to wszystko czegokolwiek może zażądać człowiek oddany naukom.

— Oh! jak mi się tu podoba! już po kilkakroć razy powtórzył Jouani, przebiegając wzrokiem pożądliwym, bogate półki na około rozłożonego księgo-zbioru, na którego czele były instrumenta fizyczne.

— Tu ja to odpoczywam po pracy, rzecze Galjani, nie widziałeś jeszcze wszystkiego, proszę z sobą. — I prowadzi go przez korytarz na kręcone wschody wiodące do jego pracowni.

Dotąd Adolf nie spostrzegł mulata Abdalach, on im otworzył drzwi żelazne.

— Na widok téj dziwnéj postaci, na hałas drzwi otwierających się, spostrzegłszy ten zakątek napełniony narzędziami astrologji i retortami chemicznemi, Jouani tłomaczy sobie myśli zabobonne które gmin przybrał za rzeczywistość.

— Uchodzisz pan w okolicy za czarnoksiężnika, rzekł uśmiechając się.

— I chlubię się z tego, dzięki poszeptom ciemnoty, używam zupełnej samotności kiedy mię weźmię chętka zajęcia się najulubieńszą

moją nauką... ale wkrótce zima mnie ztąd wypędzi...

— Wówczas mieszkasz w zamku?

— Aż do wiosny, i ztamtąd zawsze z nową rozkoszą widzę na nowo zieleniące się szczyty drzew.

W czasie kiedy Galjani tłómaczył użycie rozmaitych narzędzi, Afrykanin oparty o drzwi, nieruchomy i ze złożonemi na krzyż rękoma na piersiach, ścigał ukośnym wzrokiem każde poruszenie Adolfa, przypominał sobie swe długie katusze pośród Rodanu, nad jego brzegiem i w grocie podziemnéj. Oh! gdyby był w stanie zadać mu wszystkie męki, do których go zemsta podniecała!

Nie pojmuje wcale uprzejmości z jaką jego pan przyjmuje u siebie Adolfa; stara się odgadnąć w jego twarzy, czy nie zastawia na niego sideł.

Wkrótce dany mu rozkaz, aby przygotował śniadanie, utwierdza go w tych domysłach.... Adolf chętnie przyjmuje zaprosiny Galjaniego, a niewolnik z dziką radością w duszy udaje się skwapliwie dopełnić poruczonego mu obowiązku.

Gdy się od nich oddalił i jest pewnym że go słyszeć nie mogą, wydaje swój zwykły uśmiech przerażający i woła: Jego sztylet nic nie poradzi przeciwko truciznie mojego pana!...

Zastawiono śniadanie, Galjani i Adolf siadają do stołu, a niewolnik usługuje im z taką zręcznością i chęcią, że Galjani znając jego zwykłą niedbałość, dziwić się zaczyna; białe oczy Afrykanina mają wyraz szczególny, kiedy się spotykają ze wzrokiem Włocha, zwłaszcza, gdy ten nalewa w szklankę artysty stare wino z nadbrzeża Rodanu, uważa baecznie wszelkie poruszenia swego pana.... Ile razy Adolf niesie do ust swą szklankę, wzrok jego ćmi się posępnym ogniem i wymawia Galjaniemu cierpliwość i wahanie się. — Przebija się w nim obawa, mruczy po [arabsku, ale głośniéj jakby chciał, gdyż Galiani dosłyszał go i zrozumiał, a rzutem oka nakazuje mu milczenie.

— Gdyby to nie było nadużyciem jego dla mnie grzeczności, rzecze Adolf, ośmielony tém przyjęciem, którego nie mógł się spodziewać, prosiłbym pana o pozwolenie, ażebym mógł tu

czasem przychodzić, dla odmalowania téj doliny i pańskiego mieszkania.

— Z największą chęcią, mogę ci nawet odstąpić jedno i drugie na kilka dni, pewny jestem że wygodniéj ci tu będzie jak w zamku, oprócz tego, położenie Edwarda wymaga teraz nieodstępnego dozoru, powrócenie choroby zagroziłoby nieochybną śmiercią, muszę więc ani na chwilę nie spuszczać go z oka.

Abdalah zaledwie może wstrzymać swoje zadziwienie; Edward przyjmując skwapliwie tę uprzejmość Galjaniego, wznieca w nim nowe domysły...

— Rozumiesz pan, że Edward nie zaraz powróci do zdrowia?

— Spodziewam się że nie długo wyzdrowieje!...

— Czy sądzisz że rozrywka może mu być zbawienną?

— Jest to ostatni środek naszéj sztuki, i ten zapewne najmniéj omyla.

— Kiedy tak, przejdą lata nim nas obudwóch zobaczycie.

— Jakto?

— Powiozę go naprzód do Paryża gdzie rozpocznie swoje nauki, ztamtąd ja mam w przyszłym roku jechać do Rzymu i Edwarda zabiorę z sobą, jakieśmy to już obadwa ułożyli, a spodziewam się że będę mógł odwieźć państwu artystę i człowieka pełnego zdrowia i przyszłości; czy potwierdzasz nasze zamysły?

— Czy potwierdzam? zawołał Galjani uniesiony radością której się nawet ukryć nie starał.. — Spodziewam się że nie za długo wyjedziecie... Ale czy tylko hrabina zezwoli na rozstanie się z synem? a zwłaszcza na czas tak długi?

— Jest to nader bolesna ofiara, na którą ona już przystała.

— Niebo samo cię tu przysłało!... Galjani serdecznie sciska rękę Adolfa... Spojrzenia Afrykanina błyszczą ztłumionym ogniem, jego ręka drzy nalewając szklankę swego pana.

— Abdalah! rzecze Włoch, idź nam przynieść flaszkę wina Lacrima-Christi... Chcę cię zaznajomić z płomieniami Wezuwjusza, panie

Jouani! wasz Szampan dobry jest tylko dla młodych dziewcząt, jest to panieńskie mleko; wino zaś neapolitańskie; jest to wino włoskich artystów. Ani malarstwem, ani poezją... ani winem włoskiém nie należy pogardzać.

Wychodząc, Afrykanin mruczał z cicha te słowa: Włochy nie mają odwagi, ich dusza zimniejszą jest od wody w Rodanie, a ich Lacrima-Christi nie tak gorące jak serce Araba..

Gdy odetkano flaszkę i nalano puhary, Galjani podniósł się i wyrzekł:

— Piję za szczęście hrabiny, za zdrowie Edwarda, wasze dobre powodzenie i szczęśliwą podróż!...

— Jako też i śmierć! rzecze Abdalah w swoim języku i patrząc ze wzgardą na Galjaniego i nie spuszczając bynajmniéj na dół oczu na jego wejrzenie.

— Cóż on mówi? zapytał Adolf uśmiechając się...

— Przeklina wino, bo jest z sekty Mahometa.

— Bardziéj mu się podoba sok wyciśnięty z maku aniżeli z winogron...

— Gdyż może zadać śmierć chrześcianinowi mruczał mulat.

Nadto pewny że Adolf nie rozumie słów arabskich Galjani nie dawał więcéj nato baczenia. i dodał:

— Należy się śpieszyć abyś się dziś jeszcze tu sprowadził; z mojéj strony zapewniam cię o méj pieczołowitości około Edwarda, i zobaczémy kto z nas dwóch prędzéj dokona swego zamysłu, a gdy go osiągniemy, ja ustąpię ci mojego chorego, a pan ustąpisz mi swego obrazu, czy przystajesz na tę ugodę?...

Uradowany że Galjani podawał mu sposób wywzajemnienia się, Jouani przyjął umowę bez trudności, i zgodzono się, że tegoż samego wieczora przeniesie się do mieszkania doktora a Galjani do swoich zimowych pokojów w zamku... potém rozeszli się.

Adolf udał się zaraz na folwark, dla przeprowadzenia swych malarskich sprzętów do pawilonu w ogrodzie.

Zostawszy sam na sam ze swym niewolnikiem, Galjani nie mógł więcéj wstrzymać gniewu, porwał go za gardło z mocą która nie miała równéj, chyba siłę mulata.

— Czyż to nie jest dla ciebie dostateczném kiedy ci dam znak ażebyś milczał, nie jestże dosyć jedno moje skinienie abyś padł przedemną na kolana, nikczemny łotrze z góry Atlasu?

Po pierwszy raz może, Abdalach stał niepochylony przed swoim panem, spuścił oczy i milczał.

— Pamiętaj mu posługiwać z takiém samém uszanowaniem jak mnie samemu, a osobliwie zapomnieć o téj nieużytecznéj zbrodni na któréj spełnienie miałem słabość przyzwolić, a ty nie miałeś dzielności jéj dokonać; mało to do ciebie należy że moje zamysły pomsty zostały zniszczone, że ty musisz być posłusznym temu któregoś chciał zamordować, gdyż ja to jestem, który ci to nakazuję... alboż ty możesz odgadnąć myśl twojego pana...

Takież same milczenie ze strony Abdallah. Ukojony tą zmyśloną uległością, Galjani dodał: Dla mnie jest teraz dosyć, ażeby Edward i on ztąd się oddalili, zdaje mi się że ci dosyć powiedziałem.

Kiedy mu już pozwolono się oddalić, Afrykanin tłumiąc swoję wściekłość udał się do ciemnéj kryjówki którą sobie obrał za schronienie, tam leżąc obwinięty skórą niedzwiedzią, rozwija w swoim umyśle dwadzieścia planów zemszczenia się na Adolfie. — Zanurzony w myślach Włoch odczytuje z roskoszą przysięgę pani de Lerme i nie przewiduje żadnéj przeszkody dla swojego szczęścia.

W kilka godzin późniéj przysłano po niego z zamku, dokąd go żądano bardzo pilno.

DWIE MATKI.

XX.

Wchodząc na podwórze folwarczne, pierwszy przedmiot który uderzył w oczy Adolfa, był to powóz pocztowy, jeszcze okryty grubą warstwą kurzawy, z czego można się było dorozumieć że przybyli podróżni daleką odbyli drogę, od dawna już wyprzężono konie i rzeczy rozpakowano, parobcy z folwarku byli zajęci wtaczaniem pojazdu do wozowni.

Adolf spodziewa się znaleźć panią Marcelle bardzo zajętą, co go bardziéj cieszy, bo w drodze myślał o trudnościach jakie czynić będzie w przyzwoleniu na jego przeprowadzenie się do zwierzyńca.

W sali nie znajduje tylko Cecylję, która wydaje krzyk radości spostrzegłszy go i dwie służące które się krzątają około przygotowania niezwykłego w tym domu.... Najpiękniejszy drób został poświęcony, najdojrzalsze owoce zerwano z drzewa, najcieńszą i najbielszą bieliznę stołową z szaf wydobyto.

Cecylja jest lepiéj ubraną, a może nawet ładniejszą, wykrzyknik radośny którego wstrzymać nie mogła zoczywszy Adolfa, zdaje się mu świadczyć że go oczekiwano niecierpliwie....

— Przybywajże panie Jouani! rzecze postępując na przeciw niego.... zaraz dam znać mojej matce że nareszcie przyszedłeś!

— Nie, nie, nie mów jéj tego!... ponieważ muszę zaraz powrócić do zamku, wolałbym żeby mnie wcale nie widziała....

Powrócić do zamku! dziś! właśnie też to jest w porę, o! bynajmniéj, łaskawy panie! biegnę dać znać mojéj matce!...

Cecylja wybiegła i zostawiła go nader zdziwionego i tą skwapliwością i tem przyjęciem.... myślał z razu że może matka jego przyjechała, ale powóz pocztowy odwrócił od niego tę myśl, oprócz tego uwiadomionoby go o tém; zapytywał służące, ale nieszczęście chciało że nie zrozumiał ani słowa z zepsutéj mowy prowanzalskiéj w któréj mu odpowiadano.

Pani Marcelle niezadługo weszła, twarz jéj równie jak Cecylji jaśniała weselem....

„Chcesz powrócić do zamku, rzecze śmiejąc się, ale bardzo tego żałuję że to być nie może, mam dziś w wieczór godne i szanowne towarzystwo, i spodziewam się iż mi pomożesz aby je przyzwoicie przyjąć, obeznany jesteś z miejską etykietą, znasz zwyczaje wielkiego świata, potrzebuję więc twojéj obecności, tuszę sobie że mi tego nie odmówisz....“

Chociaż sprzeciwiał się temu opóźnieniu, Adolf musiał na nie przystać aby nie urazić Marcelli, chciałby bardzo jéj zapytać co za jedni byli ci nowo przybyli goście, ale nie śmiał, a potem że dodała do swych zaprosin zobo-

wiązanie na które nie miał co odpowiedzieć. Ażebyś się nie nudził do obiadu, towarzyszyć będziesz Cecylji do miasta Arles, gdzie ma porobić sprawunki, ale może nadużywam twéj uprzejmości?

Było coś złośliwego w wyrażeniu tego zapytania, twarz nieco zachmurzona młodego człowieka wypogodziła się i rozweseliła, w kwadrans potém nasi państwo młodzi jechali zwolna po wielkiéj drodze Triquentaille.

Zaledwie odjechali, Marcelle, wydała swe ostatnie rozkazy służącym i spiesznie powróciła do.... Ale nim resztę opowiemy, pójdźmy wprzód do Arles za Adolfem i Cecylją, którzy siedząc obok siebie w kolasce folwarcznéj, czy to z dobrego serca lub dla uzyskania czasu, nie bardzo poganiali siwą szkapkę, najpoważniejszą może ze wszystkich klacz téj okolicy, zgoła jechali noga za nogą.

Dwa serca młode i pełne pierwszéj miłości nie mogą się znajdować tak blizko jedno drugiego aby nie biły gwałtownie, zwłaszcza kiedy usta, tłómacze serca, nic jeszcze nie przemówiły.

Szczęściem że droga, a nawet i ulice miasta Arles były niegodziwie brukowane. Dzięki wybojom, koła kolaski toczą się z wielką trudnością, lekkie jéj podło kołysze się i podskakuje na wszystkiu strony, tak dalece, że pomieszanie Adolfa i Cecylji znajduje pomyślne roztargnienie i wyprowadza ich z kłopotu; jakże się nie śmiać kiedy się kto kołysze i podskakuje za każdym krokiem? kiedy się czasem jest przymuszonym, zatrzymać jedno o drugie, jakże się ustrzedz aby się ręce nie spotkały i nie ścisnęły? To to też właśnie co się przytrafiło Adolfowi i Cecylji; nie masz więc nic dziwnego że będąc tak kołysanemi, miłość którą napełnione były ich serca, dobywała się przez ich usta i spojrzenia...

Ale dokądże jechali? Adolf dotąd nie pomyślał oto się zapytać; gdy wjechali w miasto, zapomniał się także dowiedzieć jacy to byli goście na folwarku.

Przejeżdzając przez plac królewskim zwany, zwrócili swój wzrok na facjatę kościoła; nadto dobrze przypominała ich pierwsze tam spotkanie, aby do niego na chwilę nie wstąpić, zgo-

dzili się jednomyślnie chociaż nie wyrzekli słowa. Adolf zatrzymał się przed wejściem do świątyni, powierzył lejce jakiejś żebraczce; wszedłszy uklękli oboje właśnie w tém samém miejscu, gdzie się znajdowali podczas pogrzebu, potem po skończeniu modlitwy i tak jak wówczas, ich oczy się spotkały, ale z innym zupełnie wyrażeniem.

Cecylja miała oddać list od matki pewnemu urzędnikowi publicznemu, ponieważ on mieszkał przy tymże placu, nie długo to zabrało czasu i nie oczekiwali na odpowiedź, bo tę można było łatwo zapamiętać:

„Powiecie pani Marcelle, że będę u niéj o szóstéj godzinie w wieczór.

Niezawodnie pomyślał sobie Adolf, jest jakaś wielka uczta dziś w wieczór na folwarku . . . .
. . . .

Jakieśmy wyżéj powiedzieli, gospodyni folwarku, po odjeździe dwojga młodych ludzi, śpiesznie powróciła do pokoju gdzie mieszkała osoba przybyła z rana.

Odjechali i możemy teraz spokojnie pogadać rzekła wchodząc do kobiety, którą na pierwszy rzut oka możnaby wziąść za hrabinę de Lerme, jest to wdowa Jouani, matka Adolfa. Ale widać po świeżości jéj rysów że jest szczęśliwszą od swéj siostry.

Marcelle siada skwapliwie obok niéj i biorąc ją za rękę którą ściska w swoich, rzecze: Teraz idźmy daléj!...

Pani Jouani dobywa list z pujlaresu i mówi: Nie pozostaje mi jak przeczytać ci list mojéj siostry, moja poczciwa Marcelle, ten ci wytłómaczy pośpiech mojego wyjazdu z Paryża i pobudkę która mi nie dozwoliła uwiadomić ani ciebie ani Adolfa...

„ Do Marji de Clary, wdowy Jouani.

Jest już lat więcéj dwudziestu, jak mi nikt nie wspomniał o tém pierszém nazwisku, i z trudnością uwierzysz jak byłam wzruszoną czytając ten pierszy wiersz którego ręka prawie mi była nieznaną, dla tego też skwapliwie spojrzałam na podpis, jako rozwiązanie zagadki, poznawszy imie mojéj siostry, och! jakżem byłam szczęśliwą! oto jest co mi pisze:

„ Marjo... Niebo udarowało mnie dwoma aniołami aby mi osłodzić stratę mojego małżonka: Bóg mi zabrał jednego i grozi uderzeniem w ostatni przedmiot mojéj tkliwości, jest to zapewne na ukaranie mnie za wszystko złe którem ci wyrządziła. To jeszcze nie dosyć może, straciłam cały majątek. Dobra naszego ojca są zastawione za znaczne długi, które musiałam uznać za życia hrabi de Lerme, okoliczności których ci teraz wyjawić nie mogę każą mi się obawiać że będę przymuszoną opuścić wszystko, wyjąwszy majątek mojéj ciotki który szczęściem należy do Edwarda, twoja więc siostra jeżeli pozwolisz tak się nazywać, twoja siostra uboga, i nieszczęsna matka, pisze do ciebie błagając o przebaczenie przeszłości; powiesz że moja skrucha nadto późno nadeszła i wtenczas kiedy nie jest więcéj w mojéj mocy powrócić ci część spadku po rodzicach, któregom cię pozbawiła, im więcéj ci wyrządziłam złego, im dłużéj spóźniłam się w uznaniu cię, tém więcéj twoje odpuszczenie będzie wspaniałém, tém więcéj mieć będziesz zasługi

przed Bogiem który zachowa twego syna i może się zlituje nad moim!... Mój Edward, którego serce jest tyle wspaniałém ile moje było zawziętém, chciał naprawić przewinienia swéj matki, jakiegoż doznał żalu gdy się dowiedział że nie jest wstanie tego uczynić... Ale ty wszystko możesz dla niego i dla mnie, niedola przyzwyczaiła cię do błogiéj mierności. Przybywaj abyś mnie nauczyła znosić nieszczęście; nie obawiam się więcéj samotnéj osobności, oddawna zamek naszych przodków jest pustynią, Edward jako właściciel majątku mojéj ciotki jest jeszcze dosyć bogatym dla nas wszystkich; Adolf i Edward poprzysięgli sobie wieczną przyjaźń, nie rozłączaj ich odmawiając mi przebaczenia. Ułożyli sobie na przyszłość podróżować i uczyć się razem; twój syn na długi czas zabierze mi mojego, przybywaj więc moja siostro, abyś go zastąpiła; mam ci wiele rzeczy powierzyć, których nie mogę udzielić listownie, potrzebuję twojéj rady, twego rozgrzeszenia i przychylności. Od dnia wczorajszego Edward jest słabszym jak zwy-

czajnie, i ja rozumiem że to jest ze zmartwienia... Przyjeżdżaj jak najprędzéj, twoja obecność uczyni mu wiele dobrego...

„ Udaj się do dyrekcji poczt, gdzie zamówiłam podróżny powóz i konie... Serce przepowiada mi że się pośpieszysz zobaczyć twego syna i twą siostrę... Nie dawaj znać o tém nikomu, zajedź do Marcelle, a ona mnie ostrzeże o twém przybyciu.“

— To dobrze, bardzo dobrze! zawoła Marcele ocierając oczy, jest to poczciwa kobieta, a ty dobra siostra, ona że się przyznała do swéj winy, a ty żeś tak szybko przybiegła dla przebaczenia jéj pomimo złego które ci wyrządziła.

— Żal mi tylko... moja droga Marcelle, rzekła pani Jouani rzucając swe ręce na jéj szyję...

— Czegóż to żałujesz?

— Że nie jestem wstanie oddać ci to coś dla mnie wyświadczyła.

— Otóż znowu! jeśli chcesz żebym płakała ze zmartwienia, gdy teraz mam zroszone oczy łzami radości i rozczulenia, mów mi o tém,

gdybyśmy się policzyli przed Bogiem sprawiedliwym, musiałabym ci nie mało zwrócić, ale bądź cierpliwą, nim staniemy przed sądem Boskim będziemy zaspokojone obiedwie.... Przynajmniéj tak się spodziewam.

— Mam ci coś jeszcze powiedzieć!

— Zobaczmy! czy znowu w tym sąmym przedmiocie?

— Nie, wyjeżdżając z Paryża, odebrałam od Adolfa list który ci udzielam, czytaj!.. (pani Marcelle bierze list, czyta, i potém go zwraca pani Jouani):

— Nie wielka to dla mnie nowina!...

— Cóż na to mówisz?

— Oh!... są to dziecińtwa młodzieży, które się z czasem zapominają, panu Adolfowi wyjdzie z głowy moja córka, niech cię bynajmniéj to nie obchodzi!

Pani Jouani stara się odgadnąć myśl pani Marcelle, któréj twarz przybrała wyraz smutku.

— Ale bo to nas obiedwie bardzo obchodzi, abyśmy się porozumiały co się tycze téj rzeczy.

— Ale pocóż to tak nagle?..prócz tego wieśniaczka, córka jednego rolnika, nie może być stosowną narzeczoną dla twego syna.... puśćmy to w niepamięć!...

— Adolf i ja winniśmy ci wszystko, kochana Marcelle, do ciebie więc należy abyś mi powiedziała, co mam odpowiedzieć mojemu synowi.

— Nie jesteście mi nic winni!... a rozum natchnąć ci powinien odpowiedź najprzyzwoitszą... przyszłość twojego syna narażoną byłaby na uszczerbek tém tak źle dobraném małżeństwem, młody człowiek pełen zdolności i dowcipu, może się pokochać w wieśniaczce, to ja pojmuję; ale żeby miał się z nią żenić! to wcale nie, on jest dobrych obyczajów, i ja się nie lękam o moją córkę, biedna nieboraczka zmartwi się to prawda, ale, dobre zamężcie i porządny folwark,... kiedy serce kobiety jest cnotliwém, ma dosyć mocy do zapomnienia pierwszéj skłonności.

— Twoja córka jest bardzo młoda!... i Adolf także, za kilka lat może się dorobić jakiego pewnego sposobu do życia.

Czy tylko nie rozumiesz przypadkiem, że ukrywam przed tobą mój prawdziwy zamysł? powątpiewałażbyś o szczerości moich zarzutów? a kiedy tak, pani Jouani! poczekaj do jutra, jutro o tém wszystkiem pomówiemy, nie możesz sobie wyobrazić przykrości jaką mi sprawiasz; ale niech się co bądź stanie, jeśli źle o mnie dzisiaj sądzisz, jutro moje sumienie będzie czystém.

Nadaremnie matka Adolfa chciała odgadnąć prawdę, ukrytą pod temi pomieszanemi wyrazami, dla oderwania się od przedmiotu téj rozmowy, który się jéj zdaje tak dolegliwym, żąda dotrzymania obietnicy obejrzenia pokoju w którym niegdyś mieszkał malarz Jouani....

— Bardzo chętnie! odpowiedziała Marcelle, ponieważ mamy serce usposobione do smutku, pójdźmy do tego pokoju, wszystko jedno czy to teraz, czy późniéj widzieć cię będę płaczącą.

Łzy wdowy rzęsisto płynęły, zobaczywszy malowania, które jéj przypominały stratę jaką poniosła... Marcelle zostawiła ją jéj żalowi i wspomnieniom, a sama poszła zająć się zatrudnieniem wymagającém jéj przytomności.

Pani Jouani chciała z tego samego miejsca, które także przypominało winę hrabiny, udzielić jéj przebaczenie. Jéj list nie zawierał żadnéj wymówki, czuła bowiem tylko roskosz zobaczenia siostry po rozłączeniu się więcéj jak dwudziestoletniém, równie jak i dzieliła jéj boleść ze słabości Edwarda pochodzącą, nalegała aby jak najprędzéj mogła z nią razem mieć udział w doglądaniu chorego i podpisała: ,, na zawsze twoja siostra, Marja...,, nie śmiejąc dodać imienia Jouani, ani de Clary, aby nie osłabić radości swéj siostry.

Turkot wracającéj kolaski na podwórze, przerwał dumanie pani Jouani, ukryta za firanką mogła cieszyć się widokiem syna nie obawiając się aby od niego była postrzeżoną. Przyrzekła swojéj przyjaciołce, że mu się nie pokaże aż w chwili siadania do stołu; nie miała przyczyny lękać się, aby ją wydała Cecylja.... gdyż lubo młoda dziewczyna, była ciekawa, ale też i roztropna, zwłaszcza kiedy matka to jéj zaleciła.

—Teraz kiedyś już powrócił, rzecze pani Marcelle do Adolfa, udaj się do swego pokoju, daję ci godzinę czasu dla przebrania się.

Młodzieniec usłuchał.

Można sobie wystawić jakie było jego zadziwienie i radość na to niespodziane spotkanie się z matką, tak co było zręcznie przygotowane przez poczciwą Marcelle, która chcąc się tym widokiem nacieszyć, poszła po cichu za nim, ale jeszcze ciszéj na palcach wsunęła się także i Cecylja... matka obracając się do cofnienia nie chcąc być spostrzeżoną zawczasu, mocno się zdziwiła spotkawszy się z córką, ale cóż powiedziéć dziecku, które idzie wślady swéj matki..

Uznany za niewinnego przez ludzi.

XXI.

Trzeba sobie przypomnieć że służący przyszedł prosić Galjaniego aby się natychmiast udał do zamku. Musiemy go tam poprzedzić o kilka godzin.

Pani de Lerme zabrała miejsce Adolfa przy Edwardzie który nareszcie spokojnie zasnął. Nadzieja i pociecha powróciła do serca zbolałego biednéj matki, bo Galjani jéj powiedział: Jeżeli zaśnie, ocalemy go.

— Mając oczy wlepione w twarz bladą, ale spokojną swego syna, wstrzymuje swój oddech i nic śmie się ruszyć w obawie, aby go nie przebudziła.

Na lekkie zapukanie do drzwi, zadrżała z przestrachu, wstaje, i ze wzrokiem zawsze obróconym ku Edwardowi wychodzi z cicha...

Służący przyszedł ją uwiadomić, iż jakiś nieznajomy żądał się z nią widzieć; udała się prędko do swego pokoju. Był to ów sławny lekarz do którego dawniéj pisała.

Na jego widok, hrabina uczuła dreszcz i omdlenie, którego nie mogła przed nim ukryć: gdyby nie była miała żadnéj nadziei ocalenia Edwarda, ujrzawszy tego człowieka jużby ją nabrała.

Był to mąż sędziwy, wnosząc z białych włosów wieńczących jego łysą głowę; był to młodzieniec, patrząc tylko na jego rysy, oczy żywe i wyraziste w których władza poznawania własności chorób nie była domysłem.

— Przybywam może zapóźno? rzecze glo-

sem ujmującym i pełnym żałości. Bladość i wzruszenie pani de Lerme kazało mu się obawiać tego, o co zapytał:

— Nie; panie.

— Ah! tém lepiéj! nie jesteśmy panami naszego czasu, widzisz pani... tyle matek potrzebuje naszéj pomocy! Ale nim zobaczę jéj syna, chciałbym wiedzieć jakiéj ulega chorobie?...

— Ma suchoty!...

Hrabina zalała się łzami wymawiając to słowo... lekarz przygryzł sobie usta wpatrując się z niezwykłą uwagą w rysy pani de Lerme.

— To źle! jest to choroba bardzo niebezpieczna, ale wszelako według jéj stopnia... nie należy tracić odwagi i nadziei. Powiedz mi pani, gdyż muszę o wszystkiém wiedzieć, bardzo rzadko ten rodzaj słabości nie ma znanéj przyczyny lub źródła... Nie pochodzi ona niezawodnie z jéj przyczyny?

— Oh! nie.

— Nie potrzebuję żadnego z jéj strony zaręczenia, widzę żeś miała tylko same zmartwienia

— Nie, panie, moja córka umarła niedawno i na tęż samą chorobę.

— Biedna matko!.. dawno pani jesteś wdową?

— Blizko lat czternaście.

— A mąż pani był zapewne....

Nie dokończył, hrabina nie była w stanie mu odpowiedzieć.

W salonie wisi portret hrabiego de Lerme, kiedy miał lat dwadzieścia pięć, ażeby dać czas hrabinie przyjścia do siebie, lekarz przez kilka chwil przypatruje się temu obrazowi, spodziewa się ściągnąć uwagę téj którą radby jeszcze badać.

— Ten portret, rzecze, musiał być podobny, wykonany jest nadto umiejętnie, aby mogło mu brakować téj zalety....

Powiedział to raczéj dla przerwania żalu hrabiny, a nie dla wymagania odpowiedzi.

— Jest to portret hrabi de Lerme!

— Portret małżonka pani?

— Tak jest!...

— To malarz zapewne mu chciał podchlebić.

— Nie!...

— Możesz pani zaręczyć że to są jego rysy z tym samym wyrazem?

— Jest to obraz uderzający podobieństwem!

— Jeżeli tak to w tém coś jest szczególniéj szego!

I lekarz jeszcze bardziéj zbliżył się do portretu:

— Prawda że znakomici malarze umieją tak zręcznie usunąć znaki cechujące, a częstokroć nie bardzo podchlebne tych których wyobrażają na płótnie, iż nie byłoby nic zadziwiającego gdyby ten portret był podobnym bardzo, a wszelako nie miał znaków których nadaremnie szukam.... W istocie, jeżeli ten portret jest rzeczywiście podobnym, tedy twarz małżonka pani nie nosiła na sobie cechy choroby którą piersi jego zawierały.... Daruj mi pani ale ja mówię jako lekarz, i nie daję na to baczności że rozdzieram blizny jéj serca, ale nie umiera się ze zmartwienia, bobyś pani już dawno nie żyła.

Znajdowało się tyle szlachetności pomieszanéj z tonem politowania i zapału, w sposobie

wysłowienia się tego człowieka, że hrabina patrzyła na niego z podziwieniem.

— Oh! chciéj pan daléj mówić!...

— Czy długo on chorował?

— Dwa lata.

— Ale nim pierwszych doznał bólów, czy się zmienił na twarzy?...

— Nie.

— I ten portret jest podobny.... zobaczmy pani syna....

— Śpi teraz, możeby było niebezpiecznie obudzić go.

— My go też nie przebudziemy.... sen jest rzeczą nadto zbawienną dla chorego... chcę mu się tylko przypatrzyć....

Hrabina przejęta nieznaném dla niej uczuciém do którego mimowolnie mieszały się podejrzenia powzięte względem Galjaniego, zaprowadziła lekarza do pokojów Edwarda.

W czasie téj drogi, odkryła mu istotne swoje położenie i udzieliła nadziei którą powziął Galjani jeżeliby chory sen odzyskał, za wszystkie te wiadomości, trząsł głową i podwajał kroku, okazując tylko swą niecierpliwość po-

ruszeniami niedowierzania: widać że się spieszył aby mógł sam przez siebie sądzić o wszystkiém.

Kiedy rozpacz dozwoli nam wynurzyć ostatni głos nadziei jedynemu z tych uprzywiljowanych od Boga ludzi z jakimże uciskiem wpatrujemy się w najmniejsze poruszenie ich rysów, kiedy schyleni nad przedmiotem naszéj miłości, jaśniejącym wzrokiem starają się odkryć, pod zasłoną nieprzejrzaną, miejsce choroby którą wezwani byli pokonać. Jest to chwila nader uroczysta, chwila religijnego milczenia, radość lub żal oczekują na jéj koniec aby się okazać; anioł życia i anioł śmierci zasiedli u wezgłowia łóżka nie wiedząc dotąd, który z nich odejdzie. Jeżeli dobry anioł pozostanie, lekarz jest bóstwem; jeśli ustąpi miejsce złemu żal jest niesprawiedliwy, nie ma nawet imienia któremby nazwał nieudolność człowieka.

Usiadł na miejscu które Adolf i pani de Lerme zajmowali od dni kilku; hrabina oparta o róg łóżka, łączy wszystkie swoje uczucia macierzyńskie do téj nieméj sceny któréj nie śmie przewidywać rozwiązania.

Z głową pochyloną na twarz Edwarda lekarz długo pozostaje nie zmieniając położenia, przysłuchuje się wprawném uchem oddychaniu chorego, liczy wzrokiem pewnym i przenikliwym bicie żył skroniowych i co raz więcéj uwaga jego jest natężoną a twarz ożywiającą, ręka szuka pod kołdrą ręki Edwarda, widać że ją znalazł gdyż jest mocno zamyślony. Przerywa wkrótce milczenie i mówi:

— Ten młodzieniec musiał doznać moralnie gwałtownego wstrząśnienia, przed kilku dniami?

— To jest prawda, panie.

— Trzeba go przebudzić.

— Ale...

— Oh! nie lękaj się pani niczego... wiem co robię.

Hrabina zbliżyła się z obawą do Edwarda i całuje go w czoło, potém wymawia kilka czułych wyrazów słabym i bojaźliwym głosem.

Edward otwiera oczy, poznaję matkę i uśmiecha się.

—Teraz pani hrabina będzie łaskawa przejść

na kilka chwil do innego pokoju, potrzebuję być sam z jéj synem.

De Lerme podniósł się i usiadł na łóżku dla przypatrzenia się cudzoziemcowi siedzącemu przy nim.

— Panie de Lerme! jestem lekarzem, rzecze biorąc znowu rękę Edwarda, i jestem także ojcem, to jest dość ma powiedzieć, ile mnie to obchodzi abym mógł ukoić frasunek jego dobréj matki... Niech pani pozostanie w przyległym pokoju, niezadługo spodziewam się udzielić jéj nieco pociechy.

Hrabina; która się dotąd ociągała z wyjściem, usłuchała na ten raz; zostawiając całe swe serce w tym pokoju którego drzwi zamknęła.

Pół godziny które zdało jéj się wiekiem, upłynęło, a lekarz nie przychodzi spełnić uczynionéj obietnicy, nakoniec drzwi się otworzyły i pokazał się... Jego twarz nie wyraża wcale ufności, rysy ma zmienione; i zdaje się jakoby chciał unikać wzroku pani de Lerme.

— I cóż, panie, rzecze do niego, oczekując jego odpowiedzi.

—Mojém zdaniem, syn pani wyszedł z wszelkiego niebezpieczeństwa.

Hrabina wydała krzyk radości którą lekarz przerwał znakiem tajemniczym.

— Wstrzymaj pani swoją radość, gdyż potrzebujesz wiele mocy do tego co nam czynić wypada, a ja potrzebuję abyś mi pani pomagała.

— W czemże?

— Wkrótce się pani o tém dowiesz, naprzód uwiadamiam panią że się tu w tym pokoju rozgoszczę, ażebym był zawsze na zawołaniu jéj syna i aby nikt bez mego pozwolenia nie mógł się do niego zbliżyć, wyjąwszy tylko panią. Widzę jéj zadziwienie, ale... nie mogę pani jeszcze powiedziéć przyczyny mego postępowania, rozkaż aby mi tu przyniesiono co potrzeba do pisania i racz kazać uwiadomić mego służącego że na niego czekam!...

Hrabina już miała wychodzić dla spełnienia jego rozkazów: zatrzymuje ją jeszcze...

Będziesz pani równie tak łaskawą kazać mi

,u przynieść łóżko, potrzebuję kilka godzin przespać się... widzisz, że postępuje sobie jak gdybym był panem... dozwól mi używać tego prawa na dni kilka.

— Oh! panie!.. nie wiem jak ci mam okazać moją wdzięczność! i hrabina wyszła z sercem drżącém z radości.

W kilku chwilach stało się zadosyć rozkazom doktora.

— Teraz niech pani każe uwiadomić domowego lekarza że tu na niego czekam, potem możesz powrócić do syna... Nie wspominaj mu tylko nic o tém co ja tu robię.

Posłano natyzbmiast po Galjaniego, i w kwadrans po tém Włoch stanął przed swoim sędzią,

Orli wzrok Marsylczyka spotkał przybywającego który pomimowolnie spuścił oczy na dół. Ukrył swoje pomieszanie głębokim ukłonem.

— Pan jesteś lekarzem i przyjacielem hrabiny de Lerme która mnie tu sprowadziła?

Tak jest.

— Jest to obowiązek nader delikatny a częstokroć bardzo przykry być przyjacielem i lekarzem domowym.

— Wiem to z doświadczenia.

— Powiedz mi, potrzebuję pańskiego doświadczenia a nadewszystko szczerości?

— Niech się pan wytłómaczy....

— Przekonałeś się zapewne o charakterze choroby, która tu już dotknęła trzy osoby.

— Nie ma wątpliwości że to jest choroba piersiowa dziedziczna.

— Ja zaś przekonałem się zupełnie przeciwnie, (wzrok lekarza z Marsylji zanurzał się w duszy Włocha). Ten zaś czuł że pot zimny oblewa jego czoło. Ale przyzywając w pomoc całą przytomność swego umysłu, usiłował uśmiechać się z pogardą: — Pojmuję, dodał Marsylczyk że to jest przykro przyznać się do omyłki która stać się mogła okropną... Ale lekarze więcéj podlegają pomyłkom.

— Mam właśnie tego dowód w téj chwili, odrzekł porywczo Galjani.

— A ja mam przeciwnie dowód tego co do-

piero twierdziłem! (Głos lekarza przywołanego nabrał takiéj dzielności iż pomnożył pomięszanie Włocha). Przekonałem się żeś się pan pomylił, osobliwie co się tycze stanu chorego którego właśnie teraz oglądałem, ten młodzieniec tak ma suchoty jak pan i ja.

— Zwyczajna różność zdań pomiędzy ludźmi naszéj sztuki!

— Ah! przybierasz taki ton, dobrze, proszę mi wytłómaczyć tę sprzeczność? ona pochodzi z twéj strony!

Marsylczyk dobywa z kieszeni flaszeczkę którą Galjani poznaje.

— Czy rozumiesz iż ten trunek nie zawiera daleko więcéj niż potrzeba do zabicia suchotnika?

— Przyznaję że gwałtowna gorączka wymagała dzielnego lekarstwa.

— Jakże to się dzieje że chory ją wytrzymuje z taką mocą?...

— Mospanie! pomyślny skutek za mnie odpowiada!

— Tak zapewne, tak, odpowiada żeś się pomylił żeś zaniedbał przygotować twych lekarstw

przez ludzi do tego mianowanych.... odpowiada nakoniec że się bawisz chemją i medycyną jako amator, i czynisz swe próby na przyjaciołach.

— Mospanie! nie wiesz do kogo obracasz te obelgi i jakie noszę imię, nie wiesz że jest zapisaném złotemi głoskami w Neapolu.

— Jesteś we Francji a nie w Neapolu i musisz się zastósować do naszych zwyczajów i przepisów. Recepty powinny być wykonywane przez aptekarza mianowanego w imieniu prawa... Powinieneś był przywołać do twéj pomocy ludzi umiejętnych, twój tytuł przyjaciela nakazywał ci to koniecznie. Nie dopełniłeś tego, coś uczynić był powinien, i jestem zniewolony ci oświadczyć że jest moim obowiązkiem wymagać od pana i od hrabiny zwołania narady lekarskiéj dziś jeszcze, możesz ze swéj strony przyzwać wszystkich lekarzy których ci się podoba, ja przywołam tych których osądzę za zdatnych i zobaczymy kto z nas dwóch mieć będzie za sobą słuszność....

— Gdybyś nawet tego nie żądał, jabym sam był się o to domagał.

— Tém lepiéj... Ale przykro mi jest mu oświadczyć że najmniejsza rzecz która cię spotkać może, będzie zakaz dłużéj praktykowania, obelga którąbym chciał abyś uniknął.

— A to jakim sposobem?

Galjani pomimo swego pomieszania, zachował ton szyderczy mogący go zasłonić od innych podejrzeń.

— Przyznając mi się że nieszczęściem, albo przez niewiadomość, dałeś zażyć twemu choremu, już może dawno, jakie lekarstwo śmiertelne, którego chciałeś zniszczyć skutek tym trunkiem (pokazał mu flaszeczkę) na ten raz nie pomyliłeś się, jest ocalonym, ale to nie dosyć, wypada abyś się przede mną do tego przyznał, albo żebyś był sądzonym, wybieraj!

Galjani cierpiał męki moralne które wycieńczały jego siły; jego zuchwałość wysilała się chcąc walczyć przeciwko niezmordowanéj stałości tego starca którego przenikliwy wzrok ani na chwilę go nie opuszczał, którego surowa szczerość nie lękała się oskarżać tak otwarcie Włocha... chwiał się między wyznaniem jakie-

go od niego żądał, i pewnością że śladów jego zbrodni niepodobna odkryć, unikał piętna hańby którém się imie jego okryje jeśli uczyni to wyznanie, i znalazł jeszcze tyle w sobie zaufania iż przystał na zwołanie rady lekarskiéj.

— Dobrze, rzecze Marsylczyk, sam pan tego chcesz, niech że się tak stanie; byłbym stłumił głos mego sumienia dla ocalenia twéj dobréj sławy, ale teraz też samo sumienie wskaząje mi drogę jakiéj się mam trzymać, możesz pan się oddalić...

Galjani wychodzi pożerany wściekłością... i bieży zamknąć się w swém ustroniu, dla zebrania myśli, zniszczenia zatrutych leków i przygotowania swéj obrony.

Napisawszy kilka listów do znaczniejszych lekarzy miasta Arles, doktór marsylski nie omieszkał także przesłać naczelnikowi sprawiedliwości następującego pisma:

„ Przywołany od hrabiny de Lerme dla ratowania jéj chorego syna, zająłem się najsumienniejszém poszukiwaniem dla wykrycia źródła jego słabości, nie mogę powiedzieć żem

nabył zupełnego przekonania iż popełnioną została zbrodnia na osobie Edwarda de Lerme, ale że mam mocne podejrzenie które mnie powoduje do wierzenia temu... zbrodnia albo traf nieszczęśliwy, jest rzeczą sprawiedliwości oświecić sumienie lekarza, proszę pana abyś rozkazał dziś jeszcze wydobyć z grobu i rozebrać ciało Elizy de Lerme zmarłéj od dni dwunastu, upraszałbym abyś raczył przedsięwziąść należyte środki aby nikomu nie pozwolono wychodzić z zamku, narada lekarska któréj żądałem i na którą także przystał doktór Galjani, odbędzie się dziś w wieczór, jeżeli pan osądzisz potrzebę na niéj się znajdować, uwiadomiam go o tém...

„Bądź pan także łaskaw kazać rozebrać trunek znajdujący się w flaszeczce którą załączam.

Służący doktora zaniósł ten list do miasta...

W kilka potém godzin, głuche szemranie rozeszło się pomiędzy mieszkańcami zamku; przyniesiono rozkaz wyż-

széj zwierzchności do murgrabiego, aby nikogo nie wypuszczał z zamku, dwóch ludzi rozgościło się u niego i jego samego na krok nie odstępowało, doniesiono równie, że na około murów zwierzyńca, baczną straż odprawiano.

— Przy nadchodzącéj nocy, pogłoski nabrały pewności, gdyż dowiedziano się od przybywających, że dobyto z rodzinnego grobu trumnę Elizy de Lerme.

Z domysłu na domysł, przeszło każdemu do głowy mniemanie, że popełniono zbrodnią na dzieciach hrabiny i imie Galianiego wkrótce krążyć zaczęło z ust do ust; zabobonne myśli, które natchnął domek Daliny Diabelskiéj, nie były poślednią skazówką służącą do oskarzenia Włocha; już on był osądzonym przez łatwo burzące się umysły pospólstwa wprzód nim jeszcze zaskarżyła go sprawiedliwość, o godzinie dziesiątej w wieczór wszystko się zmieniło, dozór około domu poprzestał i Galiani uznanym był za niewinnego przez naczelników sprawiedliwości, przez większą część lekarzy z miasta, Galiani wygrał swoją sprawę! jeden jeszcze człowiek oskarżył go w głębi

swego sumienia — był nim doktór z Marsylji.

„Ten człowiek albo nic nie umie, albo jest zbójcą mruczał sobie ciągle....“

Sekcja ciała Elizy de Lerme nie podała żadnego dowodu oskarżającego, rozbiór lekarstwa znajdującego się w flaszeczce okazał że zawierała przyczynę ocalenia Edwarda, a charakter jego choroby nad którym długo rozprawiano nie posłużył do niczego więcéj jak tylko do pokazania różności mniemań umiejętnych... wymowa także Galjaniego przyczyniła się nie mało; w niwecz obrócił swojego oskarzyciela zuchwałością, którą wywód słowny z rozczłonkowania jeszcze bardziéj podniósł, a wspomnienia tego ranka tém więcéj podwajały:

Wychodząc od hrabiny, lekarz marsylski powiedz ał:

— Wszyscyśmy się na to przynajmniéj zgodzili że syn pani żyć będzie — ale niech mi wolno będzie objawić moje zdanie, to jest: że został ocalonym przez tęż samą rękę która go zabiła... jest tu w tém jakaś tajemnica samemu Bogu wiadoma... zdaje mi się że ją zgaduje ale nie mam dowodów....

PRZED NOTARJUSZEM.

XXII.

Kiedy takie zamieszanie trwa w zamku, na folwarku najżywsza radość jaśnieje na wszystkich twarzach, pani Jouani nic więcéj nie ma do żądania, zobaczyła swego syna i piękne niebiosa prowanckie, niegdyś wypędzona z pomiędzy swych krewnych schroniła się na łono Marcelli, dla tego też jest teraz przy niéj tak szczęśliwą jak gdyby odzyskała swoją matkę:

wszystko jéj winna! bez niéj cóżby się z nią i z jéj dzieckiem stało.

Nie uwiadomiła dotąd swéj siostry że przybyła, chcąc poświęcić cały ten dzień wdzięczności i rozkoszy przepędzenia go z Adolfemi Stół około którego wygodnie dziesięć osób pomieścić by się mogło, a nie mający tylko pięć nakryć, ustawiono w sypialnym pokoju pani Marcelle: poczciwa niewiasta pragnęła aby ta mała uczta odbyła się z zamkniętem drzwiami, w oddaleniu od oczu i uszu służących płci obojéj.

Zbytnia szerokość stołu jest przydatną do przepychu prowanckiego, który rozwinęła przy éj okoliczności: kryształ, porcellana, serwis modny, nie błyszczą na stole Marcelli, ale białość i cienkość bielizny, żywe i piękne kolory ajansu, blask cyny, ciężkość srebra, świadczą że rządność jest niewyczerpanem źródłem zamożności, i że dobre mienie nie jest bynajmniéj nieużytecznem w życiu.

Godzina szósta wybić miała kiedy turkot wjeżdżającego na podwórze kabrjoletu ściągnął uwagę naszych czterech osób....

„ To pan Aubri, rzecze Cecylja która była wybiegła na ganek. Pan Aubri był to notarjusz zaproszony na obiad przez panią Marcelle. Wszedł mając pod ręką dość grubą papierów plikę, uściskał serdecznie panią domu i Cecylją, ukłonił się z uszanowaniem pani Jouani i jéj synowi. Był to człowiek sędziwy i przyjaciel domowy.

— Na słowo: do stołu!... wymówione mocnym głosem przez panią Marcelle, dano obiad i drzwi dobrze zamknięto.

— Podniecona starym winem z nadbrzeżów Rodanu i korzennemi przyprawami wesołość wkrótce zastąpiła etykietę.

Dowcipny i rubaszny, stary notarjusz, przyczynił się do niéj nie mało, już to lat szesnaście mówił on, jak oświadczył swoją miłość Cecylji, bo nie był żonatym i od chwili jak jeszcze mówić nie umiała, aż do dziś dnia kiedy tak wiele mówi, nie dała mu odpowiedzi na jego oświadczenie, rozmowa trwa w tym tonie, wesołość nawet znacznie się powiększyła aż do wetów, ale im bardziéj się ta chwila

zbliżała tém mniéj dobra Marcelle zdawała się mieć udziału w ogólnéj rozmowie, jakaś nie-spokojność malowała się w jéj oczach, często wzrok obracała ku notarjuszowi, który dawał znaki, zdające się jéj mówić: miéj cierpliwość Nakoniec zastawiono wety, drzwi znowu za-mknięto i pani Marcelle zapytała pana Aubri: przywiózłeś z sobą wszystkie papiery?.:.

— Ani jednego nie zapomniawszy, ale pierwéj: te owoce są nadto świeże abyśmy pozwolili im zwiędnąć; te ciasteczka, te kremy nadto zachęcające abyśmy ich nie skosztowali, a już też dawno jak to wino jest uwięzione w tém szkle tak starannie opieczętowaném, i tak zapleśniałem, abyśmy go na wolność nie wypuścili; to panią na przyszłość nauczy abyś mnie nie przywołała aż dopiero po zdjęciu ze stołu obrusa, ja nie mogę się ośmielić mówić o poważnych sprawach póki cokolwiek znajduje się na stole...

Nawet i sama Marcelle nie mogła się wstrzymać od śmiechu i tym sposobem upłynęło znowu małe pół godziny które jéj się zdało być niezmiernie długiém.

Nadeszła nakoniec pora; notarjusz przewidywał że ciekawość pani Jouaui i jej syna była obudzoną kilku słowami które się wymknęły pani domu:

— Kiedy się pani spodoba; teraz ja czekam z kolei! Zamyśliła się przez chwilę i wszystkie twarze przybrały tło uroczystéj uwagi które nie było niczém więcéj jak odbiciem się wzruszenia które się malowało w rysach Marcelli.

— Jeżeli księża, rzekła z uśmiechem, są naszemi pełnomocnikami do załatwienia naszych spraw z niebem, notarjusze są naszemi ajentami i spowiednikami w tém co się tycze interesów tego świata; a za tém, mój kochany panie Aubri, już bardzo dawno jakem ci objawiła wszelkie moje życzenia, dałam ci prawo, na wszelki przypadek, działać w mém imieniu, dziś obowiązuję cię ażebyś przemówił za mnie do pani i wytłómaczył jéj o co rzecz idzie.

Zacna kobieta nie mogła dłużéj mówić, już łzy kręciły się w jéj oczach; zadziwienie, ja-

kiego doznała pani Jouani łatwo da się zrozumieć, miała mówić, kiedy pan Aubri jéj przerwał przepraszając za to.

Wstaje, idzie wziąść ze swego kapelusza zwitek papierów, znowu siada i odwiązując tasiemkę którą były związane, tak zaczyna:

— Ja Karol, Stanisław Aubri, notarjusz zamieszkały w mieście Arles, pełnomocnik rodziny Marcelle, oświadczam w obec osób tutaj przytomnych, że zostały złożone w mych ręku lat temu trzynaście, przez nieboszczyka Klaudjusza Marcelle, właściciela i dziedzica, tytuły własności jednego folwarku i z przyległościami, należącego niegdyś do rodziny de Clary; tyle jest zwykłego wstępu... teraz mówić będę imieniem wdowy Marcelle, mojéj klijentki a bardziéj jeszcze przyjaciółki: ona mi powierzyła w zaufaniu tajemnicę swego serca, i jéj to serce mówić będzie przez moje usta.

„Kiedy rząd rzeczy-pospulitéj kazał ogłosić sprzedaż dóbr wychodców, zwanych własnością narodową, liczba kupujących wstrzy-

mana uczuciem delikatności na der zaszczytnej lub też obawą bardzo naturalną, liczba kupujących mówię, nie była znaczną, i chęć licytowania jeszcze mniejsza. Ojciec nieboszczyka Marcelle, odważniejszy niż jego sąsiedzi, nabył za summę czterdzieści trzy tysiące pięćset franków, rachując w to i wszelkie koszta, folwark w którym się znajduiemy, z gruntami i przyległościami do niego należącemi. Objąwszy własność téj bogatéj majętności, nabytéj za daleko mniejszą cenę niż była wartą, gdyż dziś jest oszacowaną na sześć-kroć-sto-dziewięć tysięcy-dwieście franków, ojciec nieboszczyka Klaudjusza Marcelle zapisał ją synowi, ale dla zabezpieczenia swego jednego dziedzica od wszelkiego politycznego wypadku, któryby go mógł ogolocić z majątku, słusznie, jak mówił, nabytego, udał sprzedaż w szacunku prawie takim jakie jest jego dzisiaj oszacowanie, a Klaudjusz Marcelle stał się w obliczu prawa nabywcą a nie spadkobiercą; ten przemyślny sposób, w przypadku powrócenia dóbr wychodcom, zapewniał mu wynagrodzenie daleko wyższe nad koszt pierszego nabycia.

Wolno jest ojcu starać się wszelkiemi sposobami wzbogacić swoje dzieci; ale także wolno i dzieciom osądzić czy sposoby użyte przez ich ojca były uczciwe. Klaudjusz Marcelle w początkach swego małżeństwa, nie myślał o niczém więcéj jak o dobrém zarządzeniu majątku który mu ojciec zostawił. Dawny żołnierz rzeczy-pospolitéj znajdował to dość słusznéin aby go rzecz pospolita wzbogaciła. Ale okoliczności bardzo ważne miały obudzić kiedyś w jego sercu zgryzotę sumienia; przymuszony jestem w tém miejscu mowy mojéj wznowić wspomnienia pani Jouani i blizny zaledwie zatarte w jéj pamięci.

Pani Jouani chciała przemówić, ale przeszkodziła temu Marcelle i zwinność starego notarjusza który tak daléj ciągnął.

— Oh! nie skończyłem jeszcze! gdyż ja właśnie jestem jak stare adwokaty, cierpieć nie mogę aby mi kto głos odbierał... Ja rozprawiam pomimo tego że mi przerywają, gdyby mnie nawet i za drzwi wyproszono, mówiłbym wychodząc, za drzwiami nawet dokończyłbym

méj mowy, i dodałbym: dixi! aby moje sumie- nie było czystem.

„I tak właśnie powiedziałem, że miała nadejść pora, w któréj nieboszczyk Marcelle pomyśli o uszlachceniu tytułu własności którą spokojnie posiądał. Ta chwila nadeszła, w dniu gdyś została wydziedziczoną przez twoją rodzinę; dla tego też jak on gorąco pragnął, to sam mogę zaświadczyć, ażeby był w stanie być wam użytecznym, gdyż mówił mi, gdyby nie moja lekkomyslność, bez pomocy którą dałem Jouaniemu, nigdyby nie przyszło do takiego nieszczęścia, zamiast żebym im dał rozsądne rady, wystawił mojemu przyjacielowi wszelkie złe następstwa, pomogłem do ich ucieczki, nie usłuchałem mądrych przestróg mojéj żony i stałem się po raz drugi uczestnikiem zguby téj biednéj panienki....

Oh! pani, to są własne jego słowa! świadczę się Bogiem, nigdy notarjusz nie kłamie, kiedy mówi w imieniu umarłego.

Głębokie rozrzewnienie malowalo się we wszystkich oczach ku niemu zwróconych.

„Kiedy za twoim pani z Włoch powrotem, przybyłaś szukać u niego przytułku, płakał żałośnie widząc cię tak nieszczęśliwą, w tymże samym czasie wylewał łzy z radości że jest w stanie wyświadczyć ci cokolwiek dobrego za tyle złego którego sądził się być przyczyną.“

Oh! panie! zawołała pani Jouani....

— Nie przywodzę jak tylko to co mi sam powiedział! wiecie co uczynił dla ulżenia swemu sumieniu, umarł i przekazał testamentem swojéj żonie ażeby się względem was uisciła...

Teraz kiedym wytłómaczył to co mi zlecił nieboszczyk, mówić będę w imieniu jego legatorki.

Folwark od tak dawnego czasu zarządzany gospodarskim przemysłem mojego przyjaciela, przyniósł, nie możecie o tém wątpić, znaczne summy, które dodane do pierwszéj jego wartości prawie ją podwoiły, ale ta przewyżka gruntów nie wchodzi w pierwsze oszacowanie o którem mówiłem, i utworzy w potrzebie drugi folwark prawie tak znaczny jak ten w którym się znajdujemy; oprócz budynków które potrzeba kupić albo wybudować, majątek nabyty

prscą moich klientów, i który wszakże winni korzyści z dóbr narodowych, jest bardzo pięknym jak widzicie, jest to posag panny Cecylji i jéj prawe dziedzictwo; pozostają teraz do rozporządzenia dobra należące niegdyś do rodziny książąt de Clary. Oto jest list który w tym przedmiocie odebrałem i ten mnie upoważnił do napisania aktu którego państwu udzielę.

„Mój kochany Aubri!

„Mogę być powołaną stanąć przed obliczem Boga, w chwili kiedy się tego najmniéj spodziewam, i nie mogłabym zdać mu sprawiedliwego rachunku z dobra którego mi pozwolił używać na tym świecie, chcąc zachować moją duszę od mąk zasłużonych przez tych którzy nie zachowują tego przykazania: *nie będziesz krzywdził ani wdowy ani sieroty*, proszę pana ażebyś wygotował zaraz akt zrzeczenia się któ-ry uczynić pragnę Marji de Clary, wdowie Jouani, dóbr posiadanych przezemnie od chwili mojego małżeństwa z Klaudjuszem Marcelle, ułóż to pismo jak osądzisz najlepiéj, aby mogła używać w spokojności ona i jéj spadkobiercy tego majątku, i ażeby żadne wybiegi pieniackie

nie zdołały ją kiedyś niepokoić. Posiadasz u siebie oryginał pierwszéj sprzedaży, który wyszczególnia budowle, grunta i t. p., które należały do téj sprzedaży, słowem wygotuj to o co cię proszę, najlepiéj jak twoje doświadczenie i nauka po tobie wymagają i przybywaj do mnie na obiad o godzinie szóstéj."

— Widzisz żem sumiennie dopełnił jednego i drugiego zalecenia.

Chociaż powiedział, że nic go nie przymusi do milczenia, póki swéj mowy nie skończy, sędziwy notarjusz był zniewolonym przestać, jeszcze bowiem nie skończył listu Marcelli, który wszelako doczytał, gdy pani Jouani, Adolf, Cecylja, powstali jakby namówieni, a Cecylja przed wszystkiemi rzuciła się w objęcia swéj matki.

— Oh! mamo! mamo! zawołała płacząc, co za szlachetny postępek! oh! jakże jestem szczęśliwą, iż mogę cię nazwać moją matką i nie być więcéj małą warjatką, ponieważ czuje co jest pięknêm w tym czynie.

Pani Jouani upadła znowu na swoje krzesło, z początku chciała się rzucić do nóg Marcelli,

ale nagła myśl ją oświeciła i wskazała jéj powinność. Adolf patrzył na matkę i nie pojmował dla czego się waha. — Rzekł do niéj z cicha:

— Czegoż tedy oczekujesz, ażeby odpowiedzieć?... matko kochana, czy o mnie wątpisz?...

Nadto dobrze się zrozumieli, ażeby pani Jouani dłużéj miała milczeć i tak się odezwała do Notarjusza:

— Proszę powiedz mi pan, czy prawa upoważniają rodziców do wydziedziczania swych dzieci?...

— Oh! nie, ale pani musisz sama wiedzieć, że jest wiele sposobów do uczynienia tego... Mamy donacje, sprzedaże udane, przyjęcie i uznanie fałszywych długów, i mnóstwo krzywychlinji które wszelako prowadzą prosto do celu.

— I to za pomocą jednego z tych środków wygotowałeś ten akt?

Oh! pani, różnica to jest bardzo wielka; jest to zwrócenie chwalebne, prawne z formami sprawiedliwości.

— Zobaczmy ten akt?...

— Chcesz pani abym go przeczytał?

— Daj! daj!

Wziąwszy papier z rąk notarjusza, oddaje go Adolfowi, który go przez chwilkę prędko przebiega, potem rzuciwszy okiem na matkę rozdziera, i mówi do niéj:

— Rozumiem żem zgadł twoje myśli...

Marcelle i Cecylja wydają krzyk i biegną zatrzymać Adolfa, lecz już za późno.

— Odmawiasz mi, zawołała z żalem Marcelle oh! to bardzo nie litościwie, przywieść mnie do tego abym płakała przez resztę życia mego nie mam tylko dwoje dzieci z których jedno powiłam, a drugie mojém wykarmiłam mlekiem podzielam cały mój majątek na dwie równe części pomiędzy nich dwoje, a jedno z nich odpycha część swoją z pogardą; matka mi wyrzuca: że wydziedziczam moją własną córkę z majątku który nigdy do niéj nie miał należyć, i nakazuje swemu synowi zniszczyć dziedzictwo jego przodków... Ach! panie Aubri jakżem ja nieszczęśliwa!...

Stary notarjusz oparłszy brodę na dłoni swéj ręki a łokiec na stole, nie odmieniając swego położenia, ale ocierając drugą ręką łzę spadającą, odpowiada:

— Nie, szanowna Marcelle, nie, nie jesteś nieszczęśliwą jeżeli śmiem nawet powiedzieć jesteś najszczęśliwszą z niewiast jaką kiedykolwiek spotkałem.

— Jak też możesz żartować?

— Tak daleko jestem od żartów, że płaczę, ażeby zaś notarjusz płakał musi być bardzo rozrzewniony; pani jesteś aniołem dobroci i wspaniałości, dla tego to nie możesz zrozumieć aby ci odmawiano... a ja to pojmuję. Jegomość, rozdzierając to pismo usłuchał swego serca i rozkazów matki która ma równie szlachetną jak i on duszę... tak z jednéj jak z drugiéj strony nie widzę tylko piękne postępki, a te są rzadkie, my to wiemy dobrze, my notarjusze publiczni. Przeto szczęśliwa jesteś' żeś napotkała dwie istoty nie chciwe cudzego dobra, które cię kochają dla twych nieoszacowanych przymiotów i odmawiają przyjąć co chcesz dla nich

wyświadczyć, jesteś mówię szczęśliwą że wychowałaś córkę która ma równie dobre serce jak jéj matka i potwierdza, chociaż jest prawie pełnoletnia znaczną krzywdę którą chcesz jéj zrobić...

Marcelle zanosi się od płaczu w objęciach pani Jouani i Adolfa; Cecylja siedząc w kąciku smutno zpoglądała na Adolfa i jego matkę. Pan Aubri tak daléj mówi:

— Chociaż ten pan podarł pismo, które wszelako nie miało żadnéj wartości, bo nie było opatrzone własnoręcznemi podpisami, możemy zawsze do tego środka się uciec; notarjusz nie umarł, a pani nie potrzebujesz przyzwolenia tamtéj strony, dla spełnienia tego co chcesz uczynić; wiem ja jeden sposób którego nie użyłem bez woli i wiedzy pójdę do notarjuszów, porozumiemy się w tym celu jeżeli pani Marcelle na to przystanie.

— Nie panie Aubri, nie, rzecze Jouani z niechęcią.

— Ah! panie Adolfie! wykrzyknęła Cecylja patrząc na niego z miną błagającą.

— Ale pozwól moja szanowna przyjaciołko.. zdaje mi się że myśl która mi przyszła do głowy zdoła wszystkich pogodzić...

Aubri podrapawszy się w czoło i zamyślony odezwał się do Marcelle:

— Powróćmy znowu na dawne stanowisko, tak jak gdyby nic nie było zmienioném.. Zobaczmy... oddawałaś Marji de Clary folwark z przyległościami; wyznaczałaś w posagu córce, to co przyniosły twoje oszczędności, co zrównywało poniekąd obiedwie części. Syn jakiegoś bogatego właściciela z okolicy żądał,jak mi mówiłaś jéj ręki?...

Badawcze spojrzenia notarjusza, wymawiając te słowa, zwróciły się na Adolfa a potém na Cecylją.

— W istocie panie Aubri, odpowiedziała pani Marcelle ze smutkiem.

— Ach! i powiedziałaś mu, nie odkrywając przyczyny, że Cecylja nie jest tak majętną jak on się spodziewa?

— Tak jest.

— Młody człowiek nie mniéj żądał koniecznie ręki twéj córki?

— Tak jest, tak.

— Otóż to zapamiętały kochanek którego miłość jest bezstronna? A gdybyś mu też zupełnie odmówiła!

Adolf i Cecylja uśmiechnęli się razem i spojrzeli na siebie.

Notarjusze są polubownémi sędziami stosunków i rozterków dzielących rodziny... ah! dobry Boże! ileż tu udało mi się skojarzyć małżeństw w mojém życiu dla ukończenia procesów między krewnemi, między spadkobiercami, od iluż to spraw uwolniłem moich klientów żeniąc ich! Czyliby nie można ukończyć i téj sprzeczki tak trudnéj zgodném małżeństwem? miłość może potém przyjdzie...

Obiedwie matki spojrzały nagle razem z niewymownym wyrazem, oczekiwały aby jedna z nich wymówiła przyzwolenie. To słowo z ust nie wyszło, albo jeśli go wymówiły notarjusz go nie dosłyszał; gdyż zginęło w pocałowaniu; rzuciły się albowiem w objęcie jedna drugiéj.

— Ah! ale bo tu nie idzie tylko oto ażeby rodzice się zgodzili, trzeba aby i strony kontraktujące do tego się zastosowały i zezwoliły z własnéj woli.

Stary notarjusz uśmiechał się złośliwie patrząc na Adolfa i Cecylją.

— Ah! panie, jesteś nieocenionym, rzecze Jouani, biorąc go za rękę, potém pobiegł rzucić się do nóg pani Marcelle:

— A ty moja droga opiekunko, stań się ze wszystkiem moją matką.

— Byłam nią od bardzo dawna i najdroższe życzenie mego serca jest spełnioném!

Marcelle ucałowała go w czoło, tak jak w pierwszy dzień jego przybycia na folwark.

— Patrzaj! patrzaj! to nie tak było trudném do załatwienia jak mi się zdawało... byliście tedy wszyscy w zmowie... a ja co się wstrzymywałem od miłości karmiąc nadzieją, nim jeszcze panna Cecylja odsadzoną była od piersi! Ach! Cesiu, nadto długo oczekiwałaś aby mi powiedzieć: nie.... No! ale bez urazy, napiszę twoją intercyzę i spodziewam się że jegomość jéj nie podrze.

Łzy prędko osychają kiedy się jest szczęśliwym.

POTĘPIONY PRZEZ NIEBO.

XXIII.

Radość złoczyńcy którego sąd uznał niewinnym, musi w sobie zawierać okropne szyderstwo, krwawe najgrawanie się z niedołężności i bezwładnéj sprawiedliwości ludzi: Sądzą swych bliźnich, mówi zapewnie do siebie, a nie są wstanie czytać w sumieniu oskarżonych; potępiają niewinnych według zeznania fałszywych

świadków, a dla braku dowodów uniewinniają winowajców.

I ów człowiek okryty hańbą, uznany za niewinnego przez prawo, szpera, w duszy tego, który się do niego zbliża, aby odgadł jego myśl, ściga swym wzrokiem zuchwałym i krwią splamionym, tego, który przed nim ucieka i nim pogardza, a pod tarczą prawa, które go uznało niewinnym, stara się wskazać na karę wymierzoną przeciw potwarcom, tego, który śmiał mu powiedzieć w oczy, jesteś zbrodniarzem!

— Pozbawiony obawy, którą powziął z oskarżenia obcego lekarza, Galjani wzrosł w zuchwałość tak dalece, że chciał zanieść skargę o potwarz przeciw swemu oskarzycielowi, wiedząc, że głos powszechny długo go jeszcze będzie prześladował, gdyż słowa Marsylczyka rozeszły się na około, chciał swą powagą nakazać milczenie gminowi, a nadewszystko hrabinie, któréj się obawiał podejrzeń.

— Czegoż się teraz mam obawiać? mówi do siebie, Edward został ocalonym, szperano w wnętrznościach trupa, ten mógłby był mnie o-

skarżyć, moje kwasorodne trucizny nie zostawiły po sobie żadnego śladu, mogę się więc zemścić nad tym starcem którego wzrok ostrowidza odgadł moje tajniki, którego zuchwałe usta nazwały mnie nieumiejętnym, mogę przeto z kolei wyszydzić i okryć wstydem tego który mnie widział bladnącego, rumieniącego się i drżącego.

Pomimo tego zaufania z jakiem chce nakazać milczenie zgryzotom swego sumienia, Galjani czuje w głębi serca jakąś trwogę niezwalczoną, która mu stawia ciągle przed oczy szanowną i groźną postać starego doktora. Pierwszy zapał jego zwycięztwa, stłumionym został myślami o przyszłości; zaczyna przewidywać nieszczęsne skutki wyniknąć mogące z tego oskarzenia: któż mógł sprowadzić tego człowieka jeżeli nie hrabina? a zatem straciła całe w nim zaufanie? może go nawet ma w podejrzeniu? a ów doktór nie byłże zdolny stwierdzić jéj obawę? czy ona dotrzyma teraz swéj przysięgi, kiedy Edward jest ocalony od śmierci? teraz kiedy nabyła pewności że nie był za-

chotnikiem, czy mu się przyzna że go zwiodła przez heroiczne poświęcenie siebie.

Czyliż się nie rozpocznie nowa walka pomiędzy nim a tym młodzieńcem przed którym nie bał się kłamać na przekorę wszelkim uczuciom natury? lęka się władzy Edwarda nad sercem matki, zgroza którą mu okazał w chwili gdy on mu mógł jeszcze nakazywać milczenie, czyli się bardziéj nie powiększy teraz, kiedy go może nazwać potworą, będąc do tego upoważniony przez hrabinę?

Zaplątany w sieci téj zdrady knowanéj z wytrwałością, którą sądził być niezmordowaną, czuje, że jego odwaga słabieje w ten czas kiedy tylko jeden krok mu pozostaje dla dojścia do celu, noc która się zaczyna i dzień jutrzejszy zdają mu się nie podobne do przebycia.

Chociaż rad że Adolf nie przyszedł nocować u niego jak był obiecał, i że jest wstanie, nie obawiając się ciekawych oczu ludzi zamkowych, podać bieg wolny swym słowom i myślom, Gajani doznaje w tém samotnem ustroniu jakiejś trwogi, nie chciałby sam pozostać; obecność mulata Abdallach, która zwykle jest mu cięża-

rem wydałaby mu się w téj chwili bardzo szacowną; lecz gdzież on jest?... pocóż dom opuścił kiedy mu rozkazał czekać na Adolfa? Galjani dorozumiewa się że jego niewolnik bał się pozostać sam na sam z młodym Jouani....

— Zapewne nie powróci na noc? mówi do siebie z przestrachem, któremu nie może dać nazwiska.

— Alboż to pierwszą noc sam tutaj przepędzę? i stara się uśmiechnąć myśląc o téj lękliwości.

— Po raz pierwszy w życiu mojem strach mnie przejmuje, mówi do siebie, przeglądając się w zwierciadle i widząc bladość swéj twarzy....

— Strach! oh! czegóż? doktora marsylskiego! obraz tego człowieka długo mnie będzie prześladował!

Uderza zapamiętale pięściami w marmur pokrywający komodę, nad którą, nie wiedząc co czyni, zapala sześć świec jarzęcych w kandelabrach będących po obu stronach zwierciadła.

— Na cóż tu tyle światła? tak! tak! — po-

trzeba mi go — musi tu tak być jasno jak we-dnie, niech promienie światła mnie oślepią.

Potém spieszy zapalać pachnące świece nad kominem, woń z nich pokoj napełniająca, pobudza go do uśmiechu:

— Wydaje mi się jakbym był w Neapolu, rzecze, w pośród festynów które wydawała hrabina, tak! ale jestem sam.... kiedyż ona będzie tu ze mną?.... może nigdy!

Upada na krzesło zniechęcony, i długo zostaje zanurzony w swych marzeniach; wieczór upływa a Abdalach nie wraca.

— Ach jeżeli się odważył czekać i uderzyć na niego wykrzyknął z przestrachem porywając się z krzesła; myśl iż Abdalach może zamordował Adolfa przejmuje go zgrozę; jestem zgubiony, dodaje, jeżeli ten tygrys spełnił zemstę o którój myślał dziś rano, zgubiony bez ratunku; gdyby przynajmniéj przyszedł donieść mi o swém szkaradném zwycięstwie, miałbym czas uciec! — ale nie; on mnie zostawia pośród okropnéj niepewności, on się ocalił! on!... może też poległ, jest może pojmany... oskarżenie dziś

rano, zbrodnia w wieczór przez Abdalach spełniona — to jest więcéj niż potrzeba na moją zgubę!... czyż nie powróci... aby mnie wyrwać z téj niespokojności okropniéjszéj niż samarzeczywistość?

Ten domysł tysiąc razy przewrócony w jego wyobraźni, przybrał wkrótce pozór prawdy, potém nie było to już prawdo-podobieństwo, śmierć Adolfa stała się dla niego czynem dokonanym... cóż czynić... uciekać, ale jeżeli się myli?

Przestraszenie Galjaniego spowodowało gorączkę, krew uderza do głowy, serce mocno bije, powieki ciężą... Wyziewy pachnące świec jarzących tworzyły powietrze gorące i gęste, które stopniami pochłonęło małą ilość zamkniętą w miejscu gdzie Galjani nie dawał się ogarnąć przestrachowi, obfity pot spływał z czoła, jego oddychanie duszące stawało się co moment bardziéj ciężkiém.. Nagle trzeźwiąc się biegnie do okna krzycząc: powietrza świeżego, duszę się!... Drząca ręka nie znajduje tajnéj sprężyny za pomocą któréj otwiera się okno!...

Obiedwiema rękami wybija szyby a strumienie powietrza orzeźwiają go.

— Oh! boreaszu! zawoła, lodowaty i zabójczy boreaszu, ty jesteś mojém zbawcą!

Wiatr szumi i miota gwałtownie stóletniemi dębami opasującemi dolinę, księżyc ukryty za chmurami które niekiedy nawałność rozpędza rzuca jasne promienie które sięgają aż do mieszkania doktora a potem gasną i pomnażają ciemność; słysząc ten głos niebios grzmiący około siebie Galjani rozumie że się jego dolina zapadła, a jéj ściany wzniosły i tworzą nieprzebyte mury. Mając wzrok wlepiony w szczyty drzew, zdaje mu się jak żeby układano cegłę na cegle dla wywyższenia jeszcze więcéj wałów i że jakaś niewidzialna władza rozrzuca co moment, to co silniejsza moc natychmiast odbudowywa, tarcza księżyca, biała jak włosy sędziwego lekarza z Marsylji, zdaje mu się mieć wzrok przenikliwy i groźny jak spojrzenie jego oskarżyciela, pośród szuma boreasza, skrzypienia zeschłych i łamiących się gałązek, zdaje mu się słyszeć jego głos wzywający nieba przeciw sądowi ludzi.

Upojony wyziewami któremi oddychał, mając serce dręczone zgryzotą i strachem, jego

wyobraźnia w obłąkaniu, powodować się daje wszystkim dziwacznym marzeniom...

Ale tak zimny jak odłamek lodu który kładą na czole spiekłem gorączką, wiatr pochodzący z gór cewenskich, spędza krew z mózgu Włocha odzyskającego zwolna rozum i cokolwiek nadziei.

Więcéj godziny bawił w oknie, wybiła północ; jest pewny że nikt oprócz samego Abdałlach, nie może zakłócić o téj godzinie jego spokojności, mówi do siebie: Tak białego dnia doczekam. A potém alboż to poraz pierwszy afrykanin w domu nie nocuje?... Alboż to nie zdarzyło mu się kilkadziesiąt razy zasnąć pijanemu w gęstwinie zwierzyńca? Ta myśl pocieszająca uspakaja do reszty jego wyobraźnią, i pomaga do podniecenia cokolwiek odwagi zamyka starannie wszystkie drzwi, nabija parę pistoletów które kładzie przy sobie, drogo przeda swe życie albo sam sobie włeb wypali, jeżeli wszelkiéj nadziei pozbawionym zostanie, nie będzie się kładł w łóżko, czuwać będzie do dnia. Gasi prawie wszystkie świece, z obawy aby ich wpływ nie powrócił mu znowu zawrotu głowy, powietrze wchodzące przez stłuczone szyby krew mu ochłodziło, prawie

ze wszystkiém odzyskał swoją dawną u.. fność.

Otwiera jedną ze swyce ulubionych książek i stara się rozerwać skołatane myśli powabném czytaniem. Jednostajny szum wichru nie ustaje i działa zwolna na zmysły Włocha, którego oczy zamykają się od pierwszego blasku światła od gorączki którą wytrzymał, od drukowanych charakterów które dla małego światła ledwo może rozezwać.

Nadaremnie chch walczyć ze snem, ociężałość umysłu i ciała przymusza go aby mu uległ, rzuca się ubrany na łożko i głęboko zasypia.

Miał się nie za długo obudzić.

Łoskot podobny do grzmotu wodospadu huczy o kilka kroków od jego łóżka, obudza się raptownie, świeca zgasła, ciemność jess okropna, hałas się powiększa i dobywa przez okna gdyż słyszy łoskot szyb które do reszty pękają, chłód wilgotny, woń bagnista rozchodzą się po pokoju.

Siedzący na łóżku, zlodowaciały ze zgrozy i ogłuszony tym hałasem którego nie może rozpoznać przyczyny, pózostaje kilka sekund jak nieżywy i osłupiały, bada swoje zmysły

rozumiejąc że jeszcze jest łupem marzenia albo graszką zawrotu głowy, ale straszliwa rzeczywistość przedstawia się jego myśli.

Woda, zawoła, woda! przeklęty Abdallah! Abdallah! nikczemny zbójco!

Rzuca się do okna, lecz impet potoku wydobywającego się ze śluzy którą sam otworzył' dzycha go. Krzyczy, ratujcie, ratujcie! jak gdyby go można usłyszeć, bieży do drzwi, otwiera, rzuca się do drugiego pokoju który już woda zabrała, dostaje się do drzwi wychodnich spodziewając się że będzie mógł popłynąć do lądu, przeklina ciemność i nieszczęsną ostrożność która była przyczyną że się tak staran. nie pozamykał, nareszcie idzie otworzyć drzwi wychodzące na wschódki wykute w skale, już ma odsunąć zasuwę, lecz nagle okropna myś go wstrzymuje, czuje że woda drzwi wypycha przewiduje że postęp zalewu nie pozostawia mu nadziei.... gdyż jego wierzch już przeszedł wysokość okna, i ze gdyby te drzwi otworzył, dodałby więcej mocy żywiołowi nastającemu na jego życie.... Krzyki wściekłości i rozpaczy wydobywają się z jego piersi, już woda po pas mu dochodzi.

Jeszcze jedeń ostatni środek zbawienia mu pozostaje, jego pracowaia znajduje się nad pokojem sypialnym, może że woda tak wysoko nie dojdzie.... będzie mógł oknem wyskoczyć i na ląd się dostać.... śpieszy wyjść na korytarz wiodący do małych wschódków, lecz wydaje krzyk jeszcze przeraźliwszy niż pierwéj, jedyny ratunek który mu pozostawał, jedyne wyjście które mogło go ocalić jest zamknięte przez Abdallach!.. ażeby Adolf nie zdołał się schronić przed jego zemstą.

Boże mój! zawoła, odpuść mi, wybaw mię! a przysięgam że pójdę do Włoch, z powrozęm na szyi, bosemi nogami i tam umrę w klasztorze! zapiszę cały mój majątek Boga-Rodzicy na górze Karmelu, i Grobowi Swiętemu,... Taki jest ślub który Włoch czyni niebu, z rękoma złożonemi i stojąc, gdyż klęczeć woda mu nie pozwala.

Nie masz męki któraby nie miała chwili spoczynku, męki na które skazany był Galjani nie miały mieć żadnéj przerwy, powracając do dawnych uprzedzeń w chwili swéj śmierci, Włoch

śmiał wierzyć w cuda, lecz wóda przybierała nieustannie....

Natchniony samą tylko rozpaczą, zmierza znowu ku drzwiom wychodzącym na ganek, ale z ciężkością postępuje w takiem nagromadzeniu wody uciskającéj już jego piersi, oraz z przyczyny pływających sprzętów na jéj ruszającej się powierzchni. Przybywa nakoniec do tych drzwi które mogą przyspieszyć koniec jego katuszy, spodziewa się jeszcze przez nie wydostać jeżeli zdoła ich próg przebyć.... Zaledwie odsunął ostatni rygiel drzwi się raptem otworzyły a impet wody wywrócił go, potok wydobywający się przez tę śluzę odpycha go aż do ściany, woda nad nim się przewraca, huczy mu w uszach, i przekonywa że jest zgubiony!...

Natężywszy naostatek wszystkie swe siły staje na nogach, ale musi się wspinać aby oddychać, wyciągać ręce w górę, dotyka się ściany i szuka macając czyby nie mógł się na czem zawiesić.

Znajduje sposób przedłużenia jeszcze swego, skonu, za pomocą ciężkiego dębowego stołka,

drapie się na marmur pokrywający wysoki gotycki komin; ale musi się zginać bo ramiona dotykają pułapu.

Otoczony zewsząd głęboką ciemnością; bałwany wody szumią około niego, zmuszony zostawać zchylonym i z twarzą obróconą ku grobowi który go z niecierpliwością oczekuje, gdyż zawsze się podnosi aby go pochłonąć; Galjani wymawia, pieniąc się od wściekłości imie Afrykanina którego Bóg wybrał za wykonawcę swéj sprawiedliwości.

Tym czasem woda znowu przybrała!.. chciałby rozbić sobie głowę, albo pułap; co pomnaża jeszcze bardziéj boleści jego męki. Płacze krwawemi łzami.

— Ale mój Boże, umrzeć tym sposobem, to jest rzeczą okropną! zawoła, wyrywając sobie włosy. Lepiéj wolałbym kata, rusztowanie; słyszałbym głos ludzki litujący się nademną, albo też przeklinający, miałbym księdza któremubym mógł wyjawić wszelkie moje zbrodnie, i oświadczyć mój żal i skruchę. Ratujcie! mój Boże! ratujcie!... Abdallah!.. nikczemniku! omy:

liłeś się, twego własnego pana zabijasz.... Nieszczęście! przekleństwo!

Z wyciągniętemi przed siebie rękoma czuje pod niemi wodę wznoszącą się.

Ściga mnie! otóż jest! Abdallach ratuj! za minutę już będzie za późno!....

Zaledwie upłynęła minuta Galjani już nie mógł przedłużyć swéj katuszy i na jednę sekundę, na darmo chciał odwrócić swą twarz, dla oddalenia ust od powierzchni wody która już je zamykała, na darmo jego żylaste nogi i ramiona których siła była podwojoną ostatniem natężeniem wściekłego gniewu, chciałyby się wyprężyć i wyprostować dla złamania jarzma które go zmuszało do zetknięcia się z żywiołem śmierci; głos Włocha ginie w wodzie która się przewraca wzruszona jego oddechem, jego ciało chwieje się i upada a ostatni oddech, ostatnie przekleństwo, ostatnia myśl, i dusza wychodzą na powierzchnią w ostatnich bańkach które się z ust jego wymknęły.

KARA ODWETU.

XXIV.

„Gdyby woda bardzo przybrała, mówił kiedyś Abdallah do Galjaniego, groble Sansouires nie zdołałyby oprzeć się wylewom a w tenczas djabelska dolina utworzyłaby bardzo piękne jezioro a pańskie mieszkanie stałoby się chatką bobrów" rękami jak moje mówił daléj, a do tego z wolą jeszcze od nich mocniejszą w kilku godzinach zrobiłbym dosyć szeroką szczerbę, a impet wody dokonałby reszty: wówczas biada mieszkającym w dolinie!....

Skazany przez swego pana aby był niewolnikiem tego któregoby pragnął widzieć w głębi Rodanu, afrykanin po odejściu Galjaniego do zamku dozwolił swemu gniewowi wybuchnąć, krew w nim wrzała na samą myśl że ma być posłusznym Adolfowi który go zwyciężył, podnosi się ze swéj niedzwiedziéj skory służącéj mu za łóżko, a ulegając myśli pomszczenia się, mocniejszéj aniżeli bojaźń sprzeciwienia rozkazowi Włocha, chowa za pas nóż grożąc życiu swojego nieprzyjaciela.

Dzień upływa a Adolf nie pokazał się w mieszkaniu Galjaniego.

„ Przyjdzie on w wieczór, mówi do siebie Abdalach, a w ówczas niemógłbym się wstrzymać żebym go nie ugodził; potem musiałbym uciekać i odstąpić mego pana, wolę go nie uusłuchać...

Afrykanin zabierał się już do wyjścia, ale jakaś myśl wstrzymuje go... staje jak wryty a rysy jego przybierają wyraz dziki.

„ To jest natchnienie pochodzące od Proroka! zawołał nagle.„ Potém otwiera spiesznie

szafę, dobywa z niéj małą beczułkę z żelaznemi obręczami, bierze długi sznur konopny, chowa te rzeczy w chustkę wychodzi prędko bieży na ścieszkę z doliny wychodzącą; przez gęstwinę dostaje się do swéj jaskini, uważa pochyłość gruntu, przechodząc kręte ścieszki parowu, nie mylił się bynajmniéj, prowadzą one z groty na dolinę która niegdyś musiała służyć za obszerny zbiór wodzie z bagien de la Crau...

Przez kilka godzin zostaje ukryty w podziemnéj drodze, a kiedy się już dobrze zmierzchło, pewny że go nikt nie postrzeże, wychodzi ze swojéj kryjówki, udaje się na brzeg kanału i znajduje miejsce w którém mu najłatwiéj przyjdzie zrobić szeroki przekóp; tam brzeg kanału jest wyniesiony, za pomocą żelaznego drąga którym się uzbroił, po długiéj i ciężkiéj pracy, udało mu się wstawić beczułkę z prochem niżéj od powierzchni wody, jéj wybuch niezawodnie otworzy szerokie przejście, a potok przezeń wydobywający się idąc za pochyłością gruntu wpadnie do wklęsłéj dro-

gi i w kilku minutach zatopi dolinę i pawilon Galjaniego.

Zalany potem, mając ręce krwią zbroczone siedzi na brzegu przekopu który otworzył, bada gwiazdy, dla dowiedzenia się o któréj godzinie ma ukończyć tę pracę, odtyka nareszcie beczułkę, wkłada w nią koniec rozkręcony konopnego sznura, nie zostaje mu już jak tylko zapalić ów lont a ten tlejąc powoli da mu czas do oddalenia się, lecz jeszcze się ociąga gdyż zawczesnym pośpiechem, jego ofiara mogłaby mu się wymknąć.

Nakoniec uważa że księżyc przebiegł większą połowę swéj drogi, pomyślawszy iż Adolf musi już być zanurzonym w śnie głębokim... zapala drugi koniec sznura, przypatruje się niespokojnie postępowi ognia, i zapewniwszy się że żadna przeszkoda nie zatrzyma tlenia, oddala się i wraca do groty zatrzymując się przy wejściu....

Abdalach, któremu nadzieja zemsty dodała przed kilku godzinami tyle siły, odwagi, i cierpliwości bez granic, czuję teraz jakąś niespokojność pochodzącą ze słabości umysłu,

oczekuje z obawą aby odgłos wybuchu doszedł do jego bacznego ucha, aby błysk płomienia zajaśniał w kierunku ktorego oczy nie mogą opuścić... doznaje jakiejś niespokojności każącéj mu powątpiewać o swem zwycięstwie.

„ Zapewne lont zagasł, zawoła przybiegając napowrót w miejsce do którego zmierzały wszystkie jego mysli, ale zatrzymuje się wspomniawszy że przybyć tam może w chwilę wybuchu; jeszcze postępuje na kilka kroków, potém się znowu zatrzymuje walcząc z chęcią która go popycha ku podkopowi mogącemu go o śmierć przyprawić.

Gdyby się był jeszcze ze dwadzieścia kroków posunął byłby zgubiony, ziemia albowiem zatrzęsła się pod jego nogami, wybuch płomieni wytrysnął aż pod niebiosa, pośród wiru kamyków i ziemi. Abdalach wydaje krzyk radości a grzmot wybuchu gaśnie jak błyskawica piorunu, poczem Afrykanin bieży przez zarośle ku jaskini... pada na ziemię przyzluchując się hurczeniu wody wydobywającéj się przekopem..... słyszy jej huk i zbliżanie, powstaje i tańczy jak Egipcjanin przed wylewem Nilu. „ Otóż

ona! woła, wpada teraz do wklęsłéj drogi! i bieży na przeciw potoku, którego huk staje się coraz wyraźniejszym, staje na pagórku, jego wzrok jaśniejący radością zwycięstwa przebiega pieniące się fale o kilka od niego kroków, idzie wślad za ich biegiem który się rozszerza i zwęża według położenia jakie napotyka, słyszy jak szumi pod nizkiém i chropowatém sklepieniem, dzika jego radość pomnaża się w miarę jak potok staje się szerszym i burzliwszym.

Już ciasne ujście nie wystarcza masie wody która zawsze rośnie i obiera nowe koryta wzdłuż murów zwierzyńca, Abdalach musi się cofnąć przed zagrażającym i jemu wylewem, ale prędzéj od wody dostaje się do miejsca dla niéj nie przystępnego i stara się przedrzeć do zwierzyńca, gdyż pragnie długo kosztować swéj zemsty, nadpsute starością mury ułatwiają mu wkrótce przejście, wskakuje do zwierzyńca i wychodzi na najwyższy szczyt panujący dolinie, w ów czas dopiero nasyca się swém zwycięztwem: oparty o drzewo z rękami na krzyż założonemi, przez długi czas

zostaje nieruchomy, mający oczy zwrócone w otchłań do któréj potok rzuca się z łoskotem.

Przy bladém świetle księżyca, widzi znikającą skałę, na któréj zbudowane jest mieszkanie jego pana, potém, właśnie w ówczas kiedy Włoch obudzony raptownie ze snu doznaje wszelkich męczarni długiego konania, afrykanin rozpływa się w rozkoszy swéj szkaradnéj zemsty; kiedy tamten w głębi doliny wydaje krzyki rozpaczy, on na szczycie słyszeć daje swój śmiech, piekielny, jeden prosi Boga Chrześcjan aby go wybawił od śmierci, drugi wzywa Machometa aby ją uczynił powolniejszą i jeszcze straszniéjszą...

Pierwszy brzask ranny zastał go w tém zadumaniu.

Ledwo dzień zajaśniał, a już rozeszła się po zamku trwoga przez ludzi z okolicy przybywających; pirwsze usiłowania zaraz obrócono dla odkrycia źródła tego nieszczęścia, a połączoném staraniem udało się zamknąć przekop zrobiony na brzegu kanału przez Abdallach; potém udano się w ślad którym wylew po-

stępował, i wkrótce odkryto przy murze ota-czającym zwierzyniec, jaskinią którą dotąd miano tylko za parów, tém bardziej że Abdalach dokładał wszelkiéj ostróżności aby zatarasować i ukrywać do niéj wejście.

Woda jeszcze się toczyła w przejściu podziemném. Przestraszeni myślą o niebezpieczeństwie jakie mogło grozić mieszkańcom zamku, wieśniacy przybywają wkrótce do żelaznéj bramy zwierzyńca i budzą z wielkiém krzykiem odźwiernego, w kwadrans potém, służący hrabiny i włościanie, otaczają szczyt doliny djabelskiéj która nic więcéj nie przedstawia jak widok spokojnego jeziora.

Ciżba ta zachowuje posępne milczenie, wszystkich oczy są zwrócone na ostrze żelaza które sterczy nad wodą: jest to strzała wieżyczki gdzie Galjani założył swoją pracownią, pewność że Włoch i jego niewolnik pochłonieni zostali w swém mieszkaniu, utwierdza w umysłach gminu zabobonne przesądy i domysły dawniejsze, szmer zgrozy a nie politowania wychodzi ze wszystkich ust, nikt więcéj nie wątpi że ręka boska uderzyła w Galjaniego i Abdallach. O.

krzyki zadziwienia i przestrachu odezwały się na widok Afrykanina ukazującego się dla oddalenia wszelkich podejrzeń... Otaczają go, zadają mu pytania, na które nie może odpowiedzieć, potem zapytuje się znowu służących o swego pana, którzy mu powiadają że Galjani nie nocował w zamku i że w wieczor powrócił do siebie.

Krzyk wściekłości wyrwał się z obrzydłych ust mulata, wielkie łzy kręcą się w jego dzikich i białych oczach, uderza się w piersi wymawiając słowa, które zimnym dreszczem przejmują wszystkich, oddalają się od niego gdyż szkaradne wykrzywiania się, czynią go jeszcze okropniejszym. Upada zanurzony w żalu, i długo zostaje z głową ukrytą w swych rękach, tłumiąc w sobie głuche jęki.

Przypatrują się jego rozpaczy z takim samym strachem, jakiegoby doznano patrząc na ostateczny skon tygrysa śmiertelnie ranionego.

Nagle, porywa się, każdy odskakuje od niego, a on przystępuje do brzegu otchłani, rzuca się jednym skokiem, i znika pod wodą, znowu się pokazuje i znowu znika.

Głos ludzkości przemawia w ów czas do serca każdego na widok poświęcenia się Abdallach dla swego pana, dziesięciu silnych pływaków rzuca się w jeziora, za każdém ich ukazaniem się na powierzchni wody, okrzyki zachęcenia dają się słyszeć... Lecz zostały płonnemi, nie znaleziono Afrykanina aż w miesiąc potém kiedy woda opadła... Trzymał w objęciach zwłoki swojego pana.

Dostał się on pod wodą aż do jego mieszkania, ale wyjść z tamtąd nie zdołał.

OSTATNIE WYZNANIA.

XXV.

Przebudzona wrzaskiem ludzi którzy wpadli za odźwiernym na dziedzieniec i w ulice zwie- rzyńca, hrabina wkrótce została uwiadomioną o nieszczęściu, którego Galjani padł ofiarą.

Pani da Lerme uczuła wstrząsnienie prze- strachu jakiego się doznaje na wiadomość o straceniu złoczyńcy, gdyż słowa lekarza z Mar- sylji oskarżające Galjaniego nie przestawa- ły odzywać się w jéj sercu, niebo więc ukarało tego którego ludzie uniewinnili,,

rzecze do siebie, przejęta uczuciem zgrozy i litości, do którego wmięszał się promyk radości pomyślawszy o Edwardzie.

On równie dowiedział się o okropnéj śmierci Włocha, a wszelkie uczucie nienawiści ustąpiło z jego serca, zostawując miejsce żalowi iż ściągnął karę niebios na człowieka, któremu zapewne winien życie.

Przysłuchując się szczegółom opowiadanym przez swego starego Franciszka, oniemiał z przestrachu, jakaś okropna wątpliwość zatrzymuje łzy; wie że nadeszła chwila w któréj wahanie się jego matki w uczynieniu mu ostatecznego wyznania, ustać musi; gdyż potrzeba ażeby się teraz dowiedział czy ma opłakiwać zgon Galjaniego jako syn, lub też przebaczyć występki tak okrutnie odpokutowane; trzeba nadewszystko żeby mu powiedziała jaki miał powód Włoch do podobnego oszukania go.

Pomimo osłabienia, każe się prędko ubierać, a oparty na ramieniu swego wiernego sługi, udaje się zwolna do pokoju hrabiny. Na jego widok, pani de Lerme wydaje krzyk radości i

przyjmuje go w swoje objęcia; domyślając się o co ma jéj zapytać.

Kilka chwil przechodzi w uroczystem milczeniu; Edward przypatruje się rysom swéj matki, i nie widzi w nich żadnego śladu téj żałości jaką czuć musi kobieta postradawszy ojca swego dziecka, łzy będące w jéj oczach nie zdają mu się pochodzić z rozpaczy; nie może sobie wytłómaczyć obojętności hrabiny po tak straszném zdarzeniu....

— Nakoniec odzywa się: matko moja! okropne nieszczęście wydarzyło się zeszłéj nocy, a my nie płaczemy? Jakież to tajemne uczucie zlodowaciało nasze serca?

— Nie są jeszcze odpokutowane śmiercią, wszystkie zbrodnie Edwardzie,.... są takie które wzgarda ścigać nawet za grobem powinna!...

— I to ty, moja matko która to mówisz! zawoła Edward, prawie przestraszony zimną krwią hrabiny.

— Gdybym popełniła występek o który się sama oskarzyłam, gdyż zgaduje twe myśli, moja mowa byłaby nowém poświęceniem się dla pamięci hrabiego de Lerme, a że jestem nie-

winną, natchnioną mi jest przez Boga, dla okrycia hańbą tego który chciał moje poświęcenie obrócić na korzyść swéj miłości.

— Ależ droga matko moja! chyba moja biedna głowa jest obłąkaną, gdyż ani jednego twojego wyrazu zrozumieć nie mogę!

— Nie mój synu, nie, ty mnie nie możesz zrozumieć póki ci nie wyjawię ostatniéj tajemnicy którą ukrywałam przed tobą. Jeśli mnie moje serce nie myli, niebo przybyło na ratunek twojéj nieszczęsnéj matki, samego tylko szczęścia mam się odtąd spodziewać. Mój Edwardzie!... pewien człowiek, albo raczéj anioł wczoraj mnie zapewnił, że ty mi zdrów pozostaniesz dla pocieszenia mego serca, po tylu bolesnych stratach których doznało.... Ten człowiek zaprzysiągł się na duszę i na swe białe włosy, że nie masz suchot; oskarżył Galjaniego o niewiadomość i o więcéj jeszcze; nadaremnie szukał on dowodów zbrodni któréj się domyślał...... na głos jego oskarżający zbladły lica tego którego Bog miał tak prędko ukarać.

— Co za zbiór okropności! rzecze, usiłując się uwolnić z rąk matki która okrywała pocałowaniami jego czoło.

— Wyznanie które ci czynię, Edwardzie! uwierzysz że mi teraz?... nie było, tylko środkiem które mi rozpacz nastręczyła... dla wydarcia ci téj nieszczęsnéj myśli, ja nie jestem występną... moje dziecię...

— Matko moja! nie jesteś występną!..,

— Nie, Edwardzie, nie, mój synu, nigdy nie popełniłam występku o który się sama oskarżyłam dla uwiedzenia twojéj wyobraźni; teraz kiedy wiem iż moje poświęcenie się było niepotrzebném, kiedy ten który nas zwiódł oboje, już nie żyje, że nakoniec żyć będziesz pomimo trucizny któréj on sam wstrzymał skutki, przybieram z radością, z dumą, święty tytuł małżonki i matki bez zarzutu, który złożyłam, prosząc Boga aby mi zachował mego syna okupionego tylu ofiarami; wysłuchał mych modłów, Edwardzie, nie dozwalił abym żyła zhańbioną w twych oczach, i ażeby zbrodnia czyli niewiadomość pozostała bezkarną, ugodził w Galjaniego, i podniósł

twoją matkę do godności kobiety, którą u-
traciłam.

— Mój Boże, co za bochaterstwo! jakże je-
stem występny żem cię krzywdził, wierząc
wym wyznaniom! — Och! przebacz, przebacz
matko kochana! sarkaniom moim przeciwko tobie;
zbytek mojéj rozpaczy pochodził z twojéj wła-
snéj cnoty; gdyż mówiłem sobie: ileż to potrze-
ba było obłudy dla ukrywania się przez czas
tak długi pod zwodniczą maską?...

Edward upadł do nóg matki.

— Było to rzeczą konieczną ażeby moje po-
święcenie było zupełne i zdawienne, chcieć cię
przekonać że jestem występną; wątpliwość z
twéj strony byłaby mi zadała cios śmiertelny
słuchając twoich wyrzutów, płakałam z żalu a
drżałam z radości; wierzy mi, będze ocalonym!
mówiłam sobie, dziękując niebu że mnie taką
mocą natchnęło.

— Byłbym umarł, gdybyś mnie nie pozba-
wiła téj wiary.

— Nie prawdaż?... widzisz więc dobrze że
moje poświęcenie się było potrzebne.

— Oh! nie, chcę mówić o przekonaniu że nie jesteś występną, i dla tego żem się ważył tak długi czas go zachować, upadam do nóg twoich, błagając ażebyś raczyła mi to przebaczyć a oraz dziękując, żeś mnie w téj mierze oświeciła, gdyż jest to życie, jest to dobre imie które mi dziś wracasz, ale jakież więc były występki Galjaniego?

Hrabina unikała nadaremnie opowiedzenia synowi okropnych podejrzeń które postępowanie Galjaniego w niéj wzniecało, i bolesne sceny dnia poprzedniego sprowadzone przez oskarżenie starego doktora, lecz nie mogła dłużéj opierać się jego naleganiu, w ów czzas Edward pojął całą zgrozę, któréj doznał w obecności Galjaniego.

— Moja biedna siostro! mój ojcze! zawołał, zakrywając twarz zalaną łzami. Potwór!... wciągnął mnie żem mu uwierzył iż jesteś występną, jego niegodziwe zapewnienia, zmusiły mnie do złorzeczenia méj matce, mojéj biednéj matce, męczennicy swéj miłości dla syna, i ja go nie zabiłem!... nikczemnik! złamał szpadę

którą mu rzuciłem aby się bronił, wołał: bez rozlewu krwi!... bo trucizna była jego właściwym orężem!... Oh! matko kochana! połóż rękę na mojém czole, pobłogosław mi, abyś zdjęła ze mnie tę ochydę którą on wypiętnował, nazywając mnie Edwardem Galjani!

Wycieńczony tyłu uczuciami, omdlał na ręku swéj matki . . . .
. . . .

Adolf nie mógł wstrzymać się od wykrzyknienia w przytomności wszystkich, dowiedziawszy się o przypadku zaszłym w ogrodzie zamkowym.

— Ocaliłaś mi życie, zawołał rzucając się w objęcia pani Iouani, bo gdybyś była wczoraj nie przyjechała, nie żyłbym już dzisiaj, miałem nocować w mieszkaniu Włocha.

Radość niewymowna nastąpiła po przestrachu, którym słowa Adolfa przejęły wszystkich, a Marcelle zaraz od domysłu, starała się odgadnąć prawdę, ale obecnosć Włocha w pawilonie i jego zgon, zniszczyły wszelkie podejrzenia...

Cała oddana jeszcze wczorajszemu zadowoleniu, pogłoska o badaniach sądowych ktore się wczoraj odbyły w zamku, nie doszła do niéj, ale nakoniec dowiedziała się o wszystkich szczegółach.

Nie ma się już niczego obawiać w zamku, twój nieprzyjaciel nie żyje, czas abyś się tam udał dla otarcia tyle łez.

W godzinę potém, Jouani z matką znajdowali się u hrabiny.

Kiedy Edward de Lerme wyszedł z omdlenia, dzięki staraniom doktora z Marsylji, przebiegał zdziwionym wzrokiem otaczające go osoby, zdawało mu się że ma dwie matki, gdyż stały przy nim dwie kobiety zupełnie do siebie podobne, z oczami na niego obróconemi; była to hrabina i jéj siostra, dorozumiał się wkrótce prawdy, spostrzegając Adolfa,

O mój Boże, zawołał, obudzam się w niebie!. . . . .

. . . .

. . . .

W tenczas kiedy ciżba ciekawych cisnęła się do brzegów otchłani, która pochłonęła Galja-

niego i jego niewolnika, gdy czyniła najdziwniejsze przypuszczenia i domysły o mieszkańcach doliny djabelskiéj i o ich smutnym zgonie, scena którąśmy dopiero opisali, odbywała się w zamku, dokąd szczęście powróciło na czas długi.

Doktór marsylski ciągle pielęgnował zdrowie pana de Lerme, który zwolna odzyskał siły i czerstwość.

Policja karna czyniła długie i nieużyteczne poszukiwania w mieszkaniu Galjaniego, jak tylko woda opadła.... nic nie odkryto oprócz testamentu zrobionego na korzyść dzieci hrabiego de Lerme. Pomimo téj sprzeczności, głos publiczny nie przestał oskarżać Włocha i Afrykanina.... a dzięki tym pogłoskom mogliśmy napisać tę powieść, któréj osnowa jest może prawdziwą; lecz mieliśmy tę ostrożność, aby zmienić miejsce, sceny, jako też i nazwiska.

KONIEC.

STU TYSIĘCZNA PIERWSZA I OSTATNIA

NOWA POWIEŚĆ

przez Juljana Janin.

Raz siedziałem sobie w pięknéj salce nowo wystawionego domku, daleko od Paryża, na brzegu Sekwany, która tu płynie szerokim pasem, osrebrzonym słońcem, tak że nigdy byście nie pomyśleli, żeby to była taż sama Sekwana która się zaledwie wlecze pod arkadami nowego mostu.

Byłem na wsi, przepędzałem czas bezczynnie to jest używałem próżnowania, z duszą rozkwitłą, z sercem otwartym, z napół otworzonemi oczami, z myślą uśpioną. Jakaż to rozkosz! Jak zachwycający ciągły szmer liści, cicho śpiewający szmer ptaków, śpiewający głośno szelest owadów, świszczących w wysokiéj trawie! Jak zachwycający błękit niebios, majowy kolor murawy, powoju wijącego się w około dębu, ciągłe kołysanie się wysmukłéj topoli, i swawolne zwroty motyla unoszącego się nad kwiatkiem! O, jakaż to rozkosz, bydź otoczonym wszystkiém co żyje i co się porusza, wszystkiém co stanowi początek i kres życia, kwiaty i owoce, owoce które już zaczynają dojrzewać i kwiatki które się rozwijają, powietrze, woda, szelest, milczenie, tu pasterz śpiący, tu koza szczypiąca trawę, wesołe źrebie, i szczekający pies i kura zwołująca pisklęta, lis pod wieczór czatujący na zdobycz, kuropatwa żałośnym krzykiem rozdzierająca powietrze, krolik który igrając bawi się przy świetle księżyca, kret nurtujący po gruncie, rżący koń, socha kreśląca

bruzdy; łódka pełzająca po wodzie, gwiazda zpadająca z nieba, biała rączka która nam daje znaki z wysokości balkonu, ogrodnik podlewający, usalny, mak i słoneczniki. O jak wesoło, widzieć słyszeć i czuć to wszystko władając tém wszystkiém!

Byłem zupełnie szczęśliwy w tym spokojnym domku na brzegu Sekfanny daleko od szumnego od nudnego, od burżliwego Paryża.

Możecie sobie wyobrazić, jak byłem szczęśliwy jak mało myślałem o rzemiośle literackiém, nieznośném rzemiośle, najnieznośniejszém ze wszystkich znanych w świecie rzemiosł, zwodniczém jak wszystkie zwodnicze namiętności, noszącem na sobie cały urok występku a nie mającym jego zgubnych następstw! Na nieszczęście stolica nie zawsze jest tak daleko odemnie, jak ja od niéj. Na nieszczęście świat literacki nie zawsze tak milczący, żeby dobrze w jego stronę zwróciwszy organ słuchu, nie można było usłyszeć że on pisze. Wy siedzicie sobie spokojnie na miękkim dywanie

nie myśląc o niczem na świecie i korzystając z spokojnéj nieczynności; w tem słyszycie że brama w żelaznych sztachetach, otwiera się, skrzypi, pies domowy zaszczekał i brzęknął swoim łańcuchem, do dworu wszedł człowiek zadyszany, i cały oblany potem. Niestety bądźcie zdrowe wiejskie zabawy! Ten nieczasowy człowiek przyniósł Paryskie nowiny, dzienniki, książki, bajki, dziecińistwa Paryskie;

Ach! toż samo i mnie się stało. W chwili zapomnienia, o samym sobie szczytnéj bezczynności, wiejski pocztyljon przynosi codzienną prowizję, którą rozum Paryski przesyła rozumnym prowincjonalnym od złożonego na poczcie z prenumeratą kapitału, tą prowizją jest potrawa odrażająca rodzaj pewny Hiszpańskiéj *olla potrida* w któréj wszystko najlepsze pomieszane jest z wszystkiem co jest najgorszym: a jednak co to znaczy przyzwyczajenie, — Przy każdéj nowéj przesyłce z Paryża, prowincja z radością biegnie naprzeciw pocztyljona, spieszy wyciąga ręce i natęża uszy. — Co mówi Paryż? Jak się ubiera Paryż? Co jada Paryż? czy on młody czy stary? czy wesoły,

czy smutny? Skąpy, lub też rozrzutny? Przez Boga, dajcie co prędzéj, mody, obyczaje, wy- stępki stolicy! otóż to z taką radością na pro- wincji przyjmują dzienniki Paryzkie!

A ja przeciwnie, gdy pocztyljon przynosi w moją samotną wioseczkę, skarby Paryzkiéj literatury, ja rozpaczam w ten czas, że nie jest ustanowiona przynajmniéj tygodniowa kwa- rantanna na te expedycje nieużyteczne i zara- żone nierozsądkiem wszelkiego rodzaju. Na- pada mnie wczasie nienawiść ludzi, gdy tylko spojrzę na ten papier na wszystkie strony za- drukowany, i aż po wierzch napełniony głu- pstwami, na śmierć nudzę się, gdy pomyślę, ile to pracy kosztowało ułożenie tych, do niczego nie mogących doprowadzić artykułów! Ach mieszkańcy prowincji, dla czegóż nie dacie pa- rę miesięcy odpoczynku Paryskim pisarzom. Dla czego każecie im siedzieć w ciasnym poko- iku, gdy sami przechadzacie się po polach po lasach i jak pasterz w sielance naśladujecie tańczących satyrów: Saltantes satiros imitabitur Alphesi beus? Dla czego każecie im samych

siebie przelewać na papier, wtenczas gdy sami przeciągacie się na murawie? Dla czego nie ulitujecie się choć w czasie wiosny nad biednemi waszemi sługami, którzy cały rok dostarczają wam powieści, fraszek, jak gdyby na wiosnę i bez fraszek mało było zabawy. Ach! publiczność i pisarze zawsze są w tém stosunku, jak Sułtan w tysiąc nocy i jednaj zakochany i zwodzony, który bez przerwy powtarza swojéj kochance — *Opowiedz mi jedną z tych powieści, które ty tak dobrze umiesz opowiadać*, — postanawiając sobie że wtenczas każe udusić kochankę, gdy już nic nie będzie miała do opowiedzenia.

Lecz wreszcie, Sułtanie, nasz władzco! wyrzecz o losie wszystkich twoich opowiadaczy wszystkich twoich Szecherazad; racz przysłać nam wszystkim wyroczny sznurek. Niech stanie czarny eunuch, — my z ochotą nadstawiemy szyje. Prawdziwie, lepiéj jest umrzeć zaraz, z rąk niemego wykonawcy twojéj sprawiedliwości, niż na śmierć zamęczyć się, opowiadaniem powieści wszystkich temperatur, wszystkich klimatów, wszystkich narodów, wszystkich odmian życia ludzkiego, lepiéj zaraz umrzeć niż wypełniać

nieznośne rzemiosło twojéj kochanki, niż zabawić dzień i noc kopryśnego sułtana, którego nazywają publicznością, wystawiając mu jak na targu najdelikatniéj wyrobione płody swojéj wyobraźni. Przyśléj że mi Sułtanie jedwabny sznurek. Już mi się sprzykrzyło kraść sobie samemu sen, pozbawiać cię niemych marzeń, wstawać o świcie, męczyć umysł i serce jedynie dla tego, żeby się zająć na kwadrans, jedynie dla tego że raczysz mi czasem powtórzyć: *opowiedzże mi jeszcze jedną z twoich powieści, które tak dobrze umiesz opowiadać* Nie, tego już więcéj nie będzie! Rzeczéj rozwiodę się z tobą, mój możny władzco! srogi Sułtanie! którego nazywamy publicznością.

Tak właśnie myślałem, patrząc na człowieka który przywiózł z Paryża książki i dzienniki: dumny byłem z tego, że między temi wszystkiemi dziełami, żadne nie było mojém, że w tych wszystkich dziennikach, nie było żadnego artykułu, przezemnie napisanego.

Czy pojmujecie, wy łaskawi panowie, i łaskawe panie, co to jest za rozkosz całą namiętność zachować dla siebie, jeżeli tylko w wa-

szém sercu jest jaka namiętność, utworzyć dla siebie swój romans albo dramę, jeżeli tylko w waszéj głowie jest jaki romans, lub drama, czy pojmujecie wy to? Nie zależeć od publiczności od redaktora, od księgarza, opowiadać samemu sobie, to co wy opowiadalibyście innym; trzymać ręce w kieszeniach strzeleckiéj kurtki nie będąc zmuszonym wyciągać rękę na powitanie pierwszego lepszego z przechodzących, i ściskając mu dłoń, kaleczyć się o jego paznokcie: pojmujecie wy to? *nie być już literatem!* nie pisać już ani powieści, ani krytyk, ani romansów, ani historji; nie tańczyć bez balansu w ręku z ciężarami przy nogach, na giętkiéj linie, którą nazywają *renomą*; na wyprężonéj, która się nazywa *poetyczną sławą*! Czy wy to pojmujecie? Otwierać i zamykać książkę bez nienawiści, nie być przymuszonym odczytywać ją, i jeszcze później rozbierać; być człowiekiem takim, jak wszyscy inni ludzie; czy pojmujecie to? Wierzyć temu, co się czyta, nie skrywać zadowolenia gdy się je czuje, wzruszać sęi bez namysłu, gdy napotykamy co

wzruszającego; nie ukrywać łez, gdy łzy radości płyną z oczu, — słowem, być człowiekiem. To jest prawdziwe szczęście! to myśl całego mojego życia! to dla mnie istotna rozkosz! oto, jest przyczyna, dla któréj ja lubię wieś, w ten dzień, w którym żyję sam jeden, gdy nie słyszę turkotu, w którym nie przychodzi poczta, w którym pocztyljon nie przynosi ogromnéj massy rozumu i polityki, gdy nie odbieram z Paryża ani książek, ani dzienników, ani powieści.

Ach! wczoraj był dzień szczęśliwy dziś nieszczęsny! Dziś przychodzi poczta: pocztyljon idzie, zbliża się, już przyszedł. Damy pytają czy niema do nich listów; młodzieńcy rzucają się na dzienniki; starcy wydzierają sobie książki a jeszcze jakie książki! jakie w nich opisy! co za powieści!.... O literaci wielkiéj stolicy, przejedźcie się w Niedzielę na wieś: zobaczycie położoną na wielkim stole expedycję pocztową. Ile tu książek! ile dzienników! ile komedji! ile wodewilów! Mój Boże! czyż podobna, ażeby jeden tydzień, prosty siedmiodniowy tydzień

wystarczył do napisania i wydrukowania tego wszystkiego? Potém zwróciwszy się do samych siebie, zapytajcie, czy i wy nie tém samem trudnicie się rzemiosłem a dawszy sobie potwierdzającą odpowiedź, usiądźcie z dumą, i wykrzyknijcie w myśli: *O altitudo*!

Na szczęście, nieprzyjemne wrażenie które na mnie sprawił widok expedycji pocztowéj, wkrótce rozpędzoném zostało, i nie miałem czasu oddać się rozmyślaniu. Za każdym razem; gdy jesteście w skromnym, szanownym, przyzwoitym domu prywatnego człowieka, możecie być pewni, że nie spotkacie tam literatów, ani graczów, czy to z rzemiosła, czy z przyzwyczajenia, ani bardzo pięknych dam, stanowczo rozprawiających o rzeczach na których się nie znają, ani światowych poetów w pończochach a jour, w jasno żółtych rękawiczkach, z złotemi lorynetkami, ani nieznośnych bazgraczy romansów i wierszyków sztambuchowych, — ani pustych wielomówców. Nie, nie znajdziecie tego wszystkiego w porządnym, skromnym domu prywatnego człowieka, nie znajdziecie tam

nawet ani autorek, ani pedantów, ani uczonych, ani członków żadnéj akademji, — słowem żadnéj z tych osób, których jest pełno w salonach stolicy, lecz napotkacie tam dobrych ludzi, którry nie raz wiele okazują rozsądku w rozmowie, wiele dowcipu w odpowiedziach, wiele trafności w sądzeniu o rzeczach. Tacy ludzie bardzo łatwo mogą rozpędzić zły humor który nam sprawiły książki, dzienniki i inne głupstwa stolicy.

Taki był naprzykład, dymisjonowany porucznik Godar, porucznik prawda gwardyjski, ale tylko też że porucznik. Godar w niczem niepodobny do innych dymissjonowanych poruczników. Godar nie nosi ostróg, chociaż służył w piechocie i chociaż teraz nie ma wierzchowca, Godar nie rozprawia o swoich zwycięstwach, chociaż nie był nigdy w bitwie. Godar nawet nie nosi wąsów bez munduru. Godar nawet nie używa wykrzykników koszarowéj wymowy, jest z niego wielki mówca, wielki satyryk, on na śmierć nienawidzi, przez

sam tylko instynkt, wszystkie głupstwa i fałsze, a tem samém nienawidzi z całéj duszy paryską poezję, prozę, literaturę, powieści i dzienniki. To wszystko odgadłem od razu, jak tylko się rozpatrzyłem w dymissjonowanym poruczniku Godarze, poznałem że z tym człowiekiem zrównać się trudno, i dla tego przy pierwszém zaraz poznaniu nie zacząłem z nim się poufalić, nie zaczynałem mu wyliczać moich prac przeszłych i przyszłych, nie zacząłem go za *Panie brat* nazywać porucznikiem lecz nazywałem go z szacunkiem panem Godar!

Trzeba go było widzieć w dniu w którym przyszła poczta; trzeba było widzieć jak on przebiegał jeden za drugim wszystkie dzienniki, jak wertował wszystkie książki: jaki żartobliwy uśmiech malował się wtedy na jego twarzy! Jak tylko dymissjonowany porucznik Godar rozłoży jaki dziennik, natychmiast lewa połowa jego nosa zaczyna się rozdymać, ona rozdyma się, rozszerza się, jak potwarz w Figarze Rossyniego. Godar ma dziwny sposób czytania dzienników, przedstawiam wam ten

sposób jako najlepszy ze wszystkich znanych sposobów czytania. Godar czyta naprzód nazwisko dziennika, przeczytawszy nazwisko, rzuca chwilowo wzrok na spis artykułów, od spisu wzrok jego przechodzi na imiona redaktora i jego pomocnikow; od nich ironiczne spojrzenie zwraca się na cenę prenumeraty, — 80 franków. O, wtenczas cały nos porucznika Godar rozszerza się zupełnie. Pozostaje w tym niemym stanie przez dwie albo trzy minuty; potém nos jego przybiera stopniowo zwyczajne swoje położenie, dopóty, póki porucznik nie rozłoży innego dziennika; a gdy rozłożył drugi dziennik, znów go tak samo czyta jak pierwszy: jaki bądź to jest dzienik, czy polityczny czy literacki, musiał by się uważać za najszczęśliwszego, gdyby zobaczył, że porucznik Godar inaczéj go czyta.

Z książkami porucznik Godar obchodzi się podobnie jak z dziennikami, gdy mu zię w ręce dostanie nowa książka,bierze ją i patrząc na kolor okładki, dłużéj albo krócéj trzyma w ręku; uważałem że on najlepiéj lubi żółtą okładkę książek, i w jego oczach pierwszym między

wydawcami jest ten księgarz, któęy wydaje książki w żółtych okładkach. Gdy weźmie w rękę książkę zbliża ją do oczów, patrzy na nią od góry do dołu, jak pijak przygiądający się butelce wina, na tył okładki, to jest nie na tytuł, tylko na cenę — 15 franków! — z pocztą—18 franków! Gdy widzi te franki, prawa część jego nosa zaczyna się rozdymać tak jak pierwéj rozdymała się lewa. Wewnętrzne uczucia też same żywi w sobie dla książek co i dla dzienników, lecz dla książek ma drugą połowę nosa — Szanowny też to człowiek ten porucznik Godar.

Nie idzie za tém, żeby dymissjonowany porucznik Godar nigdy nie czytywał ani książek ani dzienników, przeciwnie, on czytał ich wiele, co jest właśnie nieszczęściem dla niego, i dla nas destylujących książki i dzienniki. Jego oczytanie tem jest niebespieczniéjsze, że trudno to po nim poznać. Nie zdołacie sobie wyobrazić jak się przestraszyłem, dostrzegłszy że porucznik Godar, czytał tak wiele książek i dzienników, jasną jest rzeczą że karmi w so.

bie słuszną nienawiść ku książkom i dziennikom, słuszną, a tém samém nieubłaganą.

Przejrzawszy wszystkie dzienniki, popatrzywszy na wszystkie książki, rzekł: Mój Boże; czyż nigdy nie przestaniecie pisać powieści, bajek, plotek? Już się znudziło nam słuchać opowiadań, o występnych żonach, które kwitły w średnich wiekach, w ośmnastym wieku w roku 1840 i następnych. Zaiste, panowie, przykro jest czytać te ulotne pisemka, romansiki bez związku, bez myśli. W zwykłych romansach, przynajmniéj interess wspierany jest wykładem, rozmaitością zdarzeń, epizodami przynajmniéj napisawszy pierwszy tom, można przywyknąć jakoś do dzieła. Ale powieści, to prawdziwe galery! Ledwie że zaczniesz powieść a już się i skończyła. Cały wykład zależy na jedném zdarzeniu. Nie można jéj nadać charakteru, ani wprowadzić rozmowy: jest gładka i równa, jak kobieta która nie ma ani bioder, ani talji. Lecz kiedyż się zatrzyma w swoim pędzie, ten potok powieści, bajek, zdarzeń i romansów w rodzaju zdarzeń? Myślałem że już

ich nie ma, a one są jeszcze, — i jeszcze, — i jeszcze, — *Salmigondi, Zbiór powieści, Dziennik powieści. Setna pierwsza nowa powieść, Przegląd powieści, Wieczory, Doliny, Góry, Powieści żeglarzy, Powieści morskie, Nocny stolik, komin, zamek, chata, Między godziną jedenasta a północą, Między pierwszą i drugą godziną. Godziną wcześniéj. Godziną późniéj. Niewcześnie. Pod lipami, Pod topolami, Pod ziemią, Moja młodość, Moja starość, Powieść o ekonomji polityczněj, Powieści historyczne, Powieści literackie,* Powieści *filozoficzne. Powieści obyczajowe, Papuga Walter-Skota. Powieści Nowe, nowe powieści, Powieści niewydane, Powieści niebieskie, Powieści fantastyczne....* I cóż jeszcze? czegóż potrzeba? czego pan chcesz? i cóż jeszcze będzie? Powieści leją się jak deszcz, sypią się jak grad, oczekują pana w lesie, pilnują pana przy kominku, nawet kładą się spać z panem. Powieść wszędzie, i w przelotnym obłoku, i w zadęciu wiatru, i w pustéj wieżyczce, i na urwisku skały, i w pędzącéj gościńcem kolasce, i w łodzi prującéj wód

przezroczc; one mają twarz czarną, białą, bronzową, miedzianną; one są rodem Amerykanki, Arabki, Angielki, Niemki, Japonki; one perfumują się, piją wino, ubóstwiają się wzajemnie, kłócą się, biją się, są one sentymentalne, gniewliwe, bezczelne; noszą wąsy i peruki, wypoczywają, i na miękko wypchanéj sofie, i na wilgotnéj murawie. Daję słowo! już dosyć, nie potrzeba więcej powieści! To mówiąc dymisjonowany porucznik z gniewem rzucił na stó nową powieść pod tytołem *Zdarzenie przeszłego tygodnia.*

Wszyscy się śmieli, a nikt się porucznikowi Godarowi nie sprzeciwiał, dla tego że każdy był tego samego co i on zdania; każdy już był przesycony powieściami. Ja jeden, zadziwiony że ten człowiek umie na pamięć tytuły tylu powieści, umyśliłem stanąć w obronie téj niewinnéj pośredniéj gałązki literatury, — literatury, podług zdania teraźniejszych autorów i teraźniejszych czytelników; odważyłem się sprzeczać z groźnym porucznikiem, nie zastanowiwszy się nad tém na jakie się niebezpieczeństwo narażam.

— Lecz panie, rzekłem do niego, nienawiść pańska dla powieści i powieściopisarzy, jeżeli mi wolno powiedzieć cokolwiek za daleko jest posunięta. Powieść, jest dawnym bardzo wynalazkiem wyobraźni, napotykamy ją we wszystkich narodach, i we wszystkich epokach, na wschodzie i na zachodzie, w Paryżu u Ludwika XI i w haremie Harun-al Raszyda. Powieść przyjmuje na siebie wszystkie kształty, i wszystkie tony, wszystkie odcienia, i dla tego nie należy panie, tak gwałtownie na nią napadać, wszędzie i w każdym czasie powieść wydawała szczęśliwe owoce. Przez nią się wschód odrodził, ona była pociechą Italji w czasie morowéj zarazy, zastępowała miejsce komedji we Francji, póki Moljer nie dał Francuzom innéj komedji. Powieść jest ulubioną lalką i dzieci, i młodzieży i starców; ona w kilku stronnicach naucza tego, czego czasem romans w kilku tomach nie nauczy. Nakoniec powieść jest łatwiej pisać, i łatwiéj czytać niż romans, to jest zdawkowa moneta którą przy teraźniejszym postępie literatury nie należy pogardzać.

Gdy przestałem mówić, — Zdawało mi się że dobrze broniłem powieści — przekonany byłem że moja obrona, zrobiła przecież jakie wrażenie na dymissjonowanym poruczniku. W saméj rzeczy wszyscy słuchali z zajęciem, oprócz przeklętego porucznika Godar. Słuchał mnie rozszerzywszy obie strony nosa, dla tego że nie wiedział, czy mówię jak dziennik, czy jak książka. Pozwolił mi mówić ile mi się podoba, a gdy przestałem rzekł:

— Ba! We wszystkiém coś pan powiedział, jest nadto wiele logiki, a za to zbyt mało prawdy. Dla tego że na wschodzie pisano powieści wyborne, jenjalne, ożywione duchem czasu napełnione czcigodnemi, szlachetnemi, wezyrami, — dla tego też właśnie nie powinniście pisać wschodnich powieści. Dla tego że Włochy drzące przed zarazą, zniesławiły się zajęciem, z jakiém słuchały powieści, dla tego tez właśnie wy nie macie prawa, zwłaszcza gdy już nie ma zarazy, pisać nieprzyzwoite powieści; — dla tego

właśnie, że po śmierci Ludwika XI i Królowéj Nawarskiéj, Moljer wydał komedje, — — wy już nie możecie mieć dobrodusznéj, prostéj powieści, która tak bawiła kiedyś Karola Trystana Pustelnika. Nakoniec właśnie dla tego, że nie znacie, ani zaufania, ani bojaźni pańskiej, ani poezji, ani wyobraźni, ani wesołości, osobliwie też wesołości, przymiotu tak rzadkiego, że w Francuzkim języku jedynemu tylko dziełu, Gil — Blas, wolno być wesołém. — Właśnie dla tego, panowie, nie macie nawet prawnego powodu, do zajmowania się powieściami w rodzaju tysiąca nocy, Dekamerona, starych lecz nienaśladowanych Cent nouvelles nouvelles. Mówisz pan że powieść jest łatwo pisać i łatwo czytać: zgadzam się na to, że ją łatwo pisać chociaż dzięki Bogu sam nigdy nie pisałem, lecz żeby miało być łatwo czytać, to zupełnie co innego, Ja utrzymuję że powieści czytać wcale nie łatwo, i będę tak utrzymywał póki mnie przeciwnie nie przekona, choć jedna z pomiędzy stu i jednéj powieści.

To mówiąc porucznik Godar, rzucił spojrzenie najgłębszéj nienawiści na książki rozrzucone po stoliku.

Przyznam się, że ten nowy napad pana Godar, nie mało mnie strwożył. Mimowolnie obwiałem się tego niby — literata. Czułem że ja sam, i moi towarzysze źle wyjdą, jeżeli sposób myślenia dymisjonowanego porucznika, roskrzewi się w umysłach wszystkich czytelników, zacząłem więc zbijać jego dowody. Zacytowałem mu kilka sławnych imion, które téj sławy przez powieści nabyły, przytoczyłem ustępy z kilku znakomitych dzieł, wyliczyłem zasługi autorów, którzy roskrzewili w Europie ten rodzaj literatury. Walczyłem, wszystkiemi siłami, użyłem całéj mocy krasomówstwa; Porucznik nie przerywał, gdy skończyłem zaczął mi odpowiadać z takąż jak poprzednio szyderczą uwagą.

— Tak, tak! mówił Godar: nie ma co mówić o waszych autorach powieści! Wielcy ludzie... Prawdziwie nie pojmuję jak możecie stawiać ich obok dawnych pisarzy! Według mnie można ich podzielić na trzy bataljony: bataljon żeński, ba-

taljon morski i bataljon średnich wieków; żaden jednak z tych bataljonów nie będzie bardziéj zajmujący od drugiego.

Słuchałem z uwagą porucznika Godar, a on tak daléj mówił z ironicznym uśmiechem.

— Pan Balzak, jest dowodzcą żeńskiego bataljonu. Płeć piękną na świecie odkrył pierwszy pan Balzak. Przed nim nikt nie pojmował kobiet! On je ukrztałcił, on je tak dobrze zna, jak swój kapelusz. Mój Boże ileż to kobiet wysypało się z głowy pana Balzaka! A jeszcze jakie kobiety! kobiety z sercem, kobiety bez serca, kobiety trzydziesto-letnie, kobiety dwudziesto-letnie, kobiety z ogromnemi głowami, kobiety z głowami jak makówka małemi, wdowy, mężatki panny, nie wdowy, nie mężatki a jednak nie panny. Pan Ballzak o niczém nie myśli tylko o kobietach. U niego nic zobaczysz nic więcéj tylko białe muśliny, różowe kapelusze, Bruxelskie blondyny, gazowe wstążki, wieczorne kąpiele, niebieskie oczy, tajemne słabości serca, westchnienia, wejrzenia, burze łona, gromy pod gorsetem, pioruny migren i spazmów — potém wymowne milczenie.

Pan Balzak bawi się i gra z namiętnościami, jak kotek z nieszczęsną myszką, odwraca kobietę na wszystkie strony, pokazuje ją pod każdym względem, służy jéj za pokojówkę, za lokajka, nosi jéj szale, podaje jéj chustkę, gdy ta upadnie na mech leśnéj ścieżki, ubóstwia ją gdy ona usypia. Jestem pewny że ręce pana Balzak, mają zapach pomady, suknie bielidła, a bielizna starego masła, jestem pewny że ma na nogach nagniótki od damskich trzewiczków, w które się ubiera. Pan Balzak jest nie zupełną kobietą, kobietą która goli brodę i wąsy. To jest Król rnin Rambuletu. Chciałbym koniecznie widziéć pana Balzaka w sali zamku Rambuleta, oko w oko z młodym Bossuetem, w chwili gdy ten młody opat, odbierał w niéj od dam dworu powinszowania, z powodu pierwszego kazania.

Teu Godar ma dziwną wyobraźnię! A jednak ma słuszność: prawdziwie ciekawą byłoby rzeczą widzieć młodego Bossueta czytającego damski romans pana Balzaka. Lecz wyrok Bogów pozazdrościł nam téj przyjemności...

— Morskim oddziałem w królestwie powieści mówił daléj porucznik, dowodzi kapitan Eugenjusz Sue. Niech djabli porwą! do tysiąca bomb! sto tysięcy djabłów! trzymaj się ku północy! zawracaj! na południe prawa lina! lewa lina. Kierunek żagli.... To wszystko pochlebia okrętom, tak jak pan Balzak pochlebia kobietom. On ręką głaszcze statek po zaokrągłonéj rufie, po wypukłych bokach; morze się piętrzy bałwanami, morski rozbójnik wiesza niewinnych passażerów, majtkowie się biją, zabijają i zjadają wzajemnie: jeden tylko kapjtan Sue zachowuje zimną krew i pisze powieści wśród burzy, krwi i potoków rumu pan Eugegenjusz Sue zawsze na okręcie tak jak pan Balzak zawsze w budoarze lub w garderobie. Obadwa mają swoją własną namiętność, swoją wyobraźnią, swoją miłość, — zawsze to ten sam okręt, i zawsze taż sama kobieta. Do stu tysięcy djabłów kapitanie Sue, podnieśże żagle! Ah!... już dosyć! Bądź zdrów, żegnam pana! Margrabio de Balzak, racz wziąść szal turecki który już nie źle być musi zszarzany i obadwa idźcie sobie z Bogiem!

Tak mówił ten przeklętyporucznik Godar.

Słuchałem porucznika Godara. Przeszedł przez okręt i garderobę, a gdy już nikogo nie było ani w jednym ani w drugiéj, rzucił się na średnie wieki.

— Średnie wieki, — o święta Aldegondo! — średnie wieki, stare i pokryte zmarszczka m jak stara czarownica. Bibliofil Jakób, zna nai wylot najwygodniejsze miejsca dawnego miasta, Szpitale, pałace Ludwika XI. turnieje trubadurów, Sądy miłości, cyganów, Mikołaja Flamel, widma i djabłów piękności w złotych kołpakach wielmożną panią Michel, Izolinę z ponętnem obliczem, to wszystko jest własnością Bibliofila Jakóba. O zabawne powiastki! O śmieszne historje! Ten kochanek zntewieściały dandy, tamten kochanek okrutny i podstępny, ten znów kochanek niezmiernie stary sięgający wieków średnich. Oto są trzéj królowie waszéj powieściowéj literatury! Oto książęta waszych powieściopisarzy! Nie chcę wam pochlebiać panowie lecz prawdziwie znajduję was nadzwyczaj nudnemi.

Kochany porucznik Godar, już zaczynał na siebie zwracać całą moję uwagę. Do niegoż to? do dymissjonowanego porucznika należy, mówić z takiem ubliżaniem o głowach o mistrzach najnowszéj powieści i najnowszego romansu?.... Przystoi że to jeszcze obchodzić się z niemi, jak z żakami szkolnemi? czyż on nie powinien podziwiać pisarzy, których teraźniejsza publiczność nie może się nasłuchać? Lecz mój Boże, co to będzie z nami pisarzami drugiego stopnia którzy tylko trafem piszemy powieści? Cóż to znami się stanie, którzy piszemy romanse dla tego tylko abyśmy pisali bez zamiaru walczenia o pierwszeństwo z pisarzami pierwszego stopnia? Mój Boże! jak ja muszę mało znaczyć w oczach porucznika Godar! i myślałem sobie i serdecznie pragnąłem uniknąć wyjawienia mu mojego nazwiska.

Lecz jego okrucieństwo jeszcze nie nasyciło się tylu ofiarami; — dla niego jeszcze było zbyt małem morderstwo Panów Balzaka Eugenjusza Sue i Jakóba Bibliofila.

— Jeżeli od nich, dodał, spuściemy się do

innych autorów, cóż znajdziemy, wielki Boże! Ileż to pięknych dam, na nieszczęście cokolwiek podstarzałych które opowiadają nam starą historję (*) swoich miłostek! ileż podróżnikó v, którzy udzielają nam wrażeń i wspomnień (**) Trudno! bardzo trudno, iść za wszystkiemi temi panami i paniami po labiryntach bez końca, po których błądzi ich wyobraźnia, albo już stępiona albo jeszcze niedojrzała! — W tém zaczerwieniwszy się znowu od gniewu zawołał obracając się ku mnie.

— A co pan powiesz o Alfonsie Carre, o Michale Rajmond, o Fryderyku Soulié, i o tym jeszcze co to tak niegodziwie łamie wyrazy w niedostatku myśli, o tym wsławionym Iules Jauin? niech piekło pochłonie wszystkie wasze powieści i wszystkich ich pisarzy!

I przeklęty dymissjonowany porucznik spojrzał na mnie z tryumfem jak gdyby wiedział jaki mi cios ostatnie jego wyrazy zadały. Lecz on nie znał mnie osobiście.

(*) Pani Dudevant czyli Jerzy Sande

(**) Pan Alexander Dumas.

Przyznam się, że ostatnia jego uwaga bardzo mnie oburzyła: przybrałem postawę ponurą i poważną.

Poruczniku! rzekłem: jesteś pan za nadto prędkim w sądzeniu. Zdaje mi się że ludzie z któremi się tak źle obchodzisz, zasługują nie na nienawiść lecz na wdzięczność. Płody ich wyobraźni nie raz odwodziły pana zapewnie od wiejskich zabaw, nieraz skracały długie godziny zimy; oni zapoznali pana z obyczajami stron dalekich, czasów przeszłych i obecnych; oni to robili, czego oprócz nich nikt zrobić nie może, obejmowali w szczupłych granicach, całe dramy, całe historje, nie ujmując im przez to zajęcia; oni panie robili to co nie każdy może zrobić. Dawno już jest wiadomo, że — *La critique est aisée et l'art est difficile.* Pan byś powinien częściéj to sobie na pamięć przywodzić.

Porucznik niezmięszany odpowiedział.

— To prawda panie, że nie jestem wielkim pisarzem. O tyle jestem pisarzem o ile żołnierzem, dla tego że w moim życiu nigdy nie

zdarzyło mi się pisać, ani też walczyć. Lecz o tém co panu mówiłem tak jestem przekonany, że ja dymissjonowany porucznik Godar, nieuk Godar, żołnierz Godar, zdaje się że tego dosyć, ja tak jestem napojony powieściami, opowiadaniami, bajkami, romansami, wspomnieniami i inną błotnistą substancją literatury przeszło rocznéj że gotów jestem pozwolić żeby mnie miano za godnego litości człowieka, za literata jeżeli na jutro nie wynajdę, nie zbuduję i nie napiszę wam powieści tak zajmującéj jak wszystkie wasze teraźniejsze powieści w któréj będzie i kobieta i występek i tragiczna śmierć i wszystko co stanowi dobrą powieść. Ja na prawdę wam to przyrzekam szanowni panowie i panie: z mojéj łaski będziecie mieć najnowszą z nowych powieści. Jutro, o tym czasie przeczytam wam ją, ale musicie mi pierwéj przyrzec, że z takim zajęciem słuchać będziecie jak gdybym był Alfonsem Carre, Michałem Raymond, Karolem Node, Eugenjuszem Sue, Bibliofilem Jakóbem, Fryderykiem Souljé, Leonem Gozlan, albo panem de Balzac.

Całe towarzystwo z radością przyjęło propozycię dymisjonowanego porucznika; i każdy dał sobie słowo że będzie słuchał jego powieści z największą uwagą.

Przeszedł wieczór, przeszła noc, zajaśniał dzień. Wesoły i świeży poranek wystawił z poza drzew swoje rumiane lica, zapaliły się obłoki i nadeszło gorące spełniałe południe pola opanowało milczenie, trawa się ugięła pod ciężarem promieni słońca, potém zefir śpiący w lesie, ocknął się i opuścił zarośla, potém ptaki znów zaczęły śpiewać liście szeleścić, strumienie mruczyć, róża odżyła. Potém zadzwoniono na obiad i damy ukazały się przebrane. Nareszcie każdy cisnął się w otwarte drzwi sali jadalnéj. Lecz gdzież porucznik Godar!... A on chodzi sobie spokojnie po zacienionym szpalerze. Damy troszczą się o porucznika Godar, a on zdaje się jeszcze spokojniejszym nawet jeszcze bardziej szyderczą ma twarz jak zwykle. Kiedyż porucznik Godar zacznie czytać!

Skończywszy kawę, wypiwszy jeszcze potém kieliszek likieru, porucznik Godar rzekł do zgromadzonych dam:

— Gotów jestem przeczytać paniom powieść którą mam tu napisaną skończoną, gotową. Raczcie tylko przygotować chustki do łez, i wasze nerwy.

Całe towarzystwo przeszło do sali za dymisjonowanym porucznikiem. Gdy już wszyscy zajęli miejsca swoje, on rzekł:

Tytuł mojéj powieści jest bardzo prosty. stanowi go tylko jeden wyraz:

GRÓB.

„ Znacie zapewnie, czytał porucznik Godar, — zamek Saint — Assice, wystawiony on jest na górze panującéj nad sekwanną, ocieniają go gęste lasy; podnóżek jego obmywa powolnie płynąca woda. W dali widać wesoły młyn, ożywiający przeciwny brzeg; przez rzekę ciągle płyną promy napełnione wieśniakami i by-

dłem. Jest to starożytne mieszkanie książąt Orleańskich.

Tu porucznik zatrzymał się, jakby chciał wyczytać myśli swoich słuchaczów. Wstęp nie wywarł na nas żadnego wrażenia, wszyscy słuchaliśmy spokojnie bez podziwienia, bez entuzjazmu. Zdziwiony porucznik, spojrzał na mnie jakby zgadywał że ja z rzemiosła jestem powieściopisarzem.

— Mnie się zdaje, panie poruczniku, rzekłem żeś wybrał dla twojéj powieści niewdzięczny zamek, i niewdzięczną epokę. Zamek o którym pan mówisz zasypany jest już tylu powieściami, historjami, wierszykami, komedjami, opowiadaniami, pismami, że go trudno byłoby odkopać. Byłbyś pan najnieszczęśliwszym w świecie człowiekiem gdybyś musiał przeczytać wszystkie te literackie utwory. Nie chcę wcale odejmować panu odwagi, lecz mówię po przyjacielsku że wybrałeś pan trudną epokę i nie korzystny zamek.

— Na tém też sztuka zależy, panowie, zawołał porucznik Godar, kładąc na stół swój rękopism. W mojéj powieści nie ma

wzmianki o Sekwanie i o zamku Saint —Assice. Napisałem powieść Wenecką, i rzecz dzieje się na brzegach pokrytéj gondołami Brenty. Ale że w mojem życiu nie widziałem ani Brenty, ani Wenecji, a wiadomo mi że nowa powieść bez opisu na wstępie obejść się nie może, więc naprzód przedstawiłem obraz miejsca wszystkim znajomego, a potém przeniosę scenę w inne miejsce, którego ani ja nie znam ani wy moi państwo, wszyscy co z otwartemi ustami słuchacie mojego opowiadania. Tym sposobem będziecie mieć i wierne opisanie i podług prawideł osnowaną powieść. Zdarzenie które opowiadam jest tak zajmujące, że tylko w Wenecji mogło się przytrafić a nadto jeszcze w wieku piętnastym, gdy Wenecja, jak mówią, była dziwnie strasznem państwem.

No, więc w Wenecji, — nie będę wam opisywał Wenecji, dla tego że opisywalem już zamek Saint — Assice.

— W Wenecji mieszkał znakomity pan, bogaty i poważany, okryty szlachetnemi ranami któryj będąc już nie raz zaręczony z morzem

w charakterze Doży, umyślił na starość zaślubić młodą wenecjankę. Była to prawdziwie wenecka wenecjanka. Wenecki język, weneckie spojrzenie, skryta, wrząca namiętność wenecjanki (*).

Ona przyniosła w posagu małżonkowi swojemu Wenetowi, toż samo co żona Faljery: piękność, rozum, wdzięk, płomienną młodość, od łez wilgotne oczy, wzdętą pierś, drżące serce, głęboki nieznany smutek. Starzec z swojéj strony oddał jéj wszystko co tylko może dać stary Wenecjanin, który był trzy razy Dożą, przepędził burzliwą młodość we Francji, przy dworze Wersalskim, gdzie żył jak młody panicz, rozpustnie wesoło; który wróciwszy z Francji, przepędził dojrzałe lata w pośród spraw pań-

(*) W tém miejscu autor naśladuje styl pana Balzac, w ogólności cała ta powieść nie jest czém inném, jak tylko parodją, a do tego bardzo trafną parodją, sposobu powieściowania najznakomitszych pisarzy szkoły Paryzkiéj.

stwa, w radzie dziesięciu, w czeluści miedzianego lwa, i który potém na starość, przypomniał sobie chwile młodości, szaloną miłość, swoje północne serenady, i swoje groźne uczucia z trudnością dotąd utrzymywane w sercu. Takim był ten starzec, pół Francuz, pół Wenecjanin: Francuzem był w młodości, Wenecjaninem w dojrzałym wieku, a na starość znowu Francuzem; żył wśrod bogactw, pod cieniem arystokracji, dla któréj poświęcił trzydzieści lat życia. Od dnia ślubu, szanowny Signor Contarini, myślał tylko o swojéj żonie, myślał tylko o tém, ażeby jéj się podobać, żeby ją kochać, żeby otoczyć ją całym blaskiem bogactw i znaczenia; o tém, żeby dni jéj płynęły, jak płynie lekka gondoła po falach Adryjatyckich przy dzwięku poetycznéj barkaroli.

Po tym ustępie porucznika,prawdziwie dzwięcznym i miarowym, między słuchaczami rozszedł się szmer na korzyść opowiadającego. Można było poznać że damy żywo zajęły się jego powieścią, którą z początku za żart uważały. Lecz porucznik Godar przerwawszy czytanie zawołał:

— Otóż to! jak to prędkó wyrażami można was zająć. Ozdobny perjod zawsze przekładacie, nad dobrze ułożoną rzecz. Nadęty frazes, zupełnie dla was zastąpić może zajęcie. Biedni ludzie! zaczyna was obchodzić ta stara powieść o weneckiej czułości, powieść którą już od trzystu lat wam opowiadają, dla tego że dźwięczny perjod wyszedł z pod mojego pióra. Lecz kiedy to lubicie: niech że tak będzie! Pozwólcie!

Porucznik znowu wziął swój rękopism i czytał daléj.

Lecz to co odgadliście zapewnie w samym początku powieści, wkrótce się zdarzyło, dziewica, smutna i zamyślona! jak zimne i nieznośne jest łoże starca! Nudzić jéj się zaczęło, pod jedwabnemi firankami, znudziła się starcem chudym, pochylonym, bladą okrytą z marszczkami twarzą, bezzębnym uśmiechem. Biedna schyliła głowę, pod przykre jarzmo małżeństwa, lecz schyliwszy głowę, zobaczyła u nóg swoich to, co zawsze widzi młoda kobieta, która ze łzami w oczach schyla pierwszy raz

głowę. Ach! u nóg swoich zobaczyła młodzieńca ze swojego dworu; młodego, czułego włocha z czarnemi oczami, z twarzą ogorzałą od Włoskiego słońca, z drzącém sercem, silnego młodzieńca z rozdrażnionemi nerwami, który czekał tylko namiętności, a potém chciał umrzéć. Był on synem jednego z dzierżawców posiadłości hrabstwa, Contarini przyjął go do siebie ażeby przydać życia, staremu dworowi, wśród którego nie było jeszcze młodéj małżonki. I prawda że do ożywienia tych książęcych ścian, ponurych i milczących jak mogiła, nie mógł znaleźć nic lepszego od młodego człowieka, żywego, gniewliwego, zalanego złotem, młodzieńca który krzyczy, śpiewa, płacze i śmieje się i romansuje, młodzieńca który umie uświęcać szalone nocy karnawału, który wié gdzie grają w karty, który ukaże wśród tysiąca gondol, gondołę lichwiarza; pozna bez pomyłki i pod maską, najpiękniejszą nimfę wenecji, młodzieńca ognistego, który rano wychodzi drzwiami na pojedynek, a wieczorem wyskakuje oknem na umówioną schadzkę miłosną; młodego miłośnika szpady, gitary, kości do grania i

majtka, i najemnych morderców i aktorki, i starego Contariniego, który przed ślubem cieszył się że na jego dworze, są wszystkie przymioty młodości i tajemny dostrzegacz piękności, rozpustnik, i lokaj bez liberji, i szpada zaschłą krwią pokryta, i miłosny bilecik, i cała jego ubiegła młodość. Dla tego też Lundgi był ulubieńcem starego Doży, dopóki stary Doża sam nie umyślił puścić się w szranki miłości.

Lundgi i Contarini w jednym dniu zamienili swoje role. Jak tylko młoda kobieta wstąpiła w progi starego zamku jak tylko zamek usłyszał jéj słodki głosek, powtórzył echem lekkie jéj kroki, ugjął stare ramie pod rączką Wenecjanki, jak tylko ona oparłszy się lekko na złoconéj balustradzie balkonu spojrzała na skały bielące się wśród błękitu niebios, jak tylko stary Doża, jeszcze raz zmienił swojego pana — Signor Lundgi stał się tak skromnym, cichym, czułym, ostróżnym, jak dawniéj był śmiałym, porywczym, wesołym, otwartym i nie

poskromionym. Skończyło się: któżby poznał blondyna, pod czarnym płaszczem bez wyszycia, pod tą skromną postacią? Skończyło się: Lundgi szuka samotności, ukrywa się; nie ujrzysz go i nie usłyszysz, jego gitara milczy; jego pies opuścił głowę, lokaj także. W przeszłym miesiącu signor Lundgi zapłacił wszystkie długi, opuścił wszystkie kochanki, zawiesił szpadę na ścianie, piękne kobiety, zapaleńcy pojedynkowi, i gracze pojąć téj zmiany nie mogą.

Tymczasem szlachetny hrabia Contarini, oddaje się innego rodzaju szaleństwu. Umywa się, ubiera się, perfuje, i pomaduje. Wszystkie szwaczki w Wenecji, dla niego pracują. Kazał sobie przypasać szpadę, podniósł i przypiął pióro do swojego toku, które odpadło od toku Lundgi. Utrzymują niektórzy że w długim rymie usiłował napisać czułe stance i że nawet kościste, pokurczone reumatyzmem jego palce poruszyły strony gitary. Obcy ujrzawszy z tyłu Dożę i Lundgi, rzekłby: To jest zapewnie piękny Lundgi, a ten pewnie idzie na radę dziesięciu, a potém spojrzawszy na samego

tylko signora Contarini, dodałby: Szczęście że moja prześliczna Floretta teraz nie wygląda oknem, ten łotr ukradłby jéj przechodząc, nie jednego całusa.

Lundgi w swoim czarnym axamitnym płaszczyku, był znów, jak kiedyś, bladym i czułym młodzieńcem; Contarini w wyszytym płaszczu, był zawsze tym samym żółtym i smutnym starcem, starcem bardzo suchym i żółtym. Młodzieniec był tak miły, tak smutny tak zamyślony, tak skromny, że ona go pokochała i rzekła mu. Kocham cię! a on ledwie ośmielił się wymówić. I ja ciebie kocham! lecz to słowo rozległo się w jego sercu, to słowo wzburzyło jego uczucia, to słowo powinno go było zabić i istotnie go zabiło: bo czyż mógł walczyć ze swoim dobroczyńcą, z wielowładnym panem, on, słaby, skromny, drżący Lundgi?..,

Stare weneckie zamki, posiadają wyroczne pojęcie, wystawione są ze starego marmuru staréj weneckiéj rzeczypospolitéj, gdy w całéj Wenecji nie było kamienia, któryby nic

umiał słuchać, a potém opowiadać. Stary zamek Contariniego, pochodził z szlachetnéj rodziny, któréj imie i herb nosił na sobie; przeszedł on wszystkie zmiany losu wraz ze swojemi panami, był z początku magazynem, gdy właściciele jego byli kupcami; został twierdzą gdy jego panowie zostali rycerzami, przybrał tytuł zamku, gdy jego władcy ozdobili go wzniosłą mitrą książęcą. Ten szlachetny zamek, był to sam Contarini, z ołowioną kopułą nad jego szczytem, na dębowych podstawach utwierdzoną.

Był on bardziéj odzieżą, niż domem mieszkalnem. On kochał swojego pana, był dumny swoim panem, martwił się, gdy jego pan był smutny, śpiewał gdy jego pan oddawał się biesiadom, wściekał się ze złości, gdy jego pan się gniewał, był okrutny, mściwy, jak pan jego, miał serce, duszę, nawet nazwisko swojego pana, zwano go Contarinim.

Cóż miały robić młode rośliny posadzone pod obcém słońcem, Lundgi i Dogaresa, otoczone tym zamkiem, zatracone w tym zamku? Cóż mieli robić nieszczęśni, gdy podsłuchiwały ich

te ściany kamienne, nieubłagane jak dług!
Przy pierwszym pocałunku, który Włoch wycisnął na rączce wenecjanki, stary zamek zawrzał niechęcią, głośnym echem zbudził pana swojego, i rzekł mu do ucha że przestępstwo jest obecne, że ono gotowe rozedrzeć ślubną odzież młodéj jego małżonki. Na tę wieść stary doża, wziął swoję szpadę, i poszedł ku drzwiom sypialni małżonki. Drzwi zamknięte, Doża cicho zastukał; jego ręka nie większy zrobiła szelest jak kulka czarna, wpadająca w urnę śmierci. Gdy usłyszał ten odgłos, Lundgi, uczuł cios śmiertelny, który ugodził go w serce.

Już mówiłem wam, że ten młody człowiek był słaby i czuły, że szybko krew zalewała mu serce; on w swoim życiu się nie lękał, i dla tego pierwszy przestrach musiał go zabić. Tak się stało, gdy tylko usłyszał łoskot, gdy młoda Dogaressa nachylając się ku niemu, nic nie słyszała, gdy nakoniec drzwi się otworzyły i w nich stanęła, długa wyschła postać starego Doży.

Lundgi upadł na posadzkę.

Starzec się zbliżył. — Pani! rzekł do żony, bardzo mi jest przyjemnie że tak kochasz wiernych mi ludzi. To jest sługa, którego bardzo kochałem, ale pomimo tego, dobrze że umarł,

dobrze i dla niego, i dla ciebie pani. Niech śmierć jego będzie przebaczeniem dla was obojga. To rzekłszy wyszedł temiż drzwiami któremi wszedł.

Jak tylko on wyszedł, Lundgi (tak silny jest wpływ woli) Lundgi ożył. — Heleno, rzekł do swojéj kochanki. Heleno! bądź zdrowa! bądź zdrowa! bądź zdrowa! umarłem. Bądź zdrowa! aniele, ktorego ocalam; bądź zdrowa! piękna, szlachetna niewiasto! bądź zdrowa! bądź zdrowa! On objął jéj kibić, całował ją, lecz teraz już w usta. Potém usłyszawszy szelest, znów upadł na posadzkę.

Przyszedł starzec z sługami i duchownym; sam wszedł naprzód, zbliżył się prosto do Lundgi, położył rękę na jego sercu, potém rzekł z okropnym uśmiechem do swojéj żony: O! on na prawdę umarł. Biedny Lundgi! umarł tak młodo, tak wcześnie, nie otrzymawszy rozgrzeszenia! Szanowny ojcze, rzekł do zbliżającego się duchownego — to jest młody człowiek który nic więcéj nie potrzebuje, oprócz modlitw za umarłych.

Potém rzekł do ludzi.

— Przynieście skrzynię ołowianą, w jaką zwykle kładą patrycjuszów i mocną trumnę dębową. Niechcę żeby tak prędko robactwo miało roztoczyć szlachetne jego szczątki. —

Rzucił swój płaszcz na twarz Lundgi. — Oczy go bolą od słońca, rzekł do drzącéj żony.

Małżonka jego zimna i nieruchoma jak marmur, małżonka jego, która zaczynała pojmować zemstę męża i ofiarę Lundgi, małżonka jego myślała, że to są tylko pogróżki, jak pogróżki w gorączce, schorzałego człowieka zbliżyła się do swojego męża i głosem ile mogła łagodnym, jak mogła najmniéj drzącym, rzekła:

— Wyjdź, panie z tego pokoju, szlachetny mój małżonku zostaw jego ciało duchownym.

Lecz on lekko odpierając jéj rękę, rzekł:

— O, nie, nie! on mi był prawie synem; wziąłem biednego, od biednego ojca, wychowałem go z największym staraniem, z największą czułością; postawiłem go na równi z najznaczniejszemi, z najbogatszemi patrycjuszami, obsypałem go roskoszą i złotem, gdy był zdrowym; doglądałem go w chorobie, on tu rządził jak władzca, mnie samemu rozkazywał, i nazywa mnie prosto *ojcem*. — Wyobraź sobie, jak bardzo kochałem go, i jak on mnie kochał, kochał mnie miłością syna, gotów był tysiąc razy umrzéć, aby tylko uwolnić mnie od zniewagi, i że w całéj rzeczy pospolitéj nie było bardziéj posłusznego, pokornego, przywiązanego syna. O, dobry Lundgi! Dobry, szlache

tny Lundgi, ty już spoczywasz w grobie! Ty umarłeś tak wcześnie, żegnając moję żonę, która zawsze za własną matkę uważałeś. I ja mam opuścić jego popioły! o nie! nie, Lundgi kochane dziecie moje! Nie! przysięgam przed niebem, i wami, którzy tu jesteście, że go nie odstąpię, aż już będzie złożony w trumnie, nie opuszczę jego trumny aż będzie wpuszczona do grobu i aż nad nim wzniesie się wspaniały bronzowy nagrobek. To mówiąc miał wzrok wlepiony w żonę, a rękę trzymał na płaszczu którym przykrył zmarłego.

Nadeszła noc, zapalono światło, przyniesiono dębową trumnę, i ołowiana skrzynia oczekiwała tylko ciała zmarłego mnichy obecni przybliżyli się, żeby włożyć je w trumnę, lecz Contarini ich wstrzymał, mówiąc:

— Ojcowie, on mi był synem, pozwólcie mnie samemu dopełnić ostatnią posługę, tymczasem zaś módlcie się za jego duszę.

Duchowni uklękli, Contarini wziął chustkę które na szyi miała jego żona, obwinął nią głowę zmarłego. — Teraz odkryj jego trumnę, rzekł do żony, duchowni zaśpiewali hymn.

Ona się nie ruszyła, duchowni dalej śpiewali, Contarini rzekł cicho, — pomyśl szlachetna Dogaresso, że bardzo mało możesz zrobić dla tego człowieka, który tak wczas umarł, i dla siebie samego i dla ciebie. Przytém ja tak chcę, i takby pewnie chciał nawet sam Lundgi, gdyby on był tutaj, i gdyby mógł mówić, niezawodnieby rzekł: — Ocal siebie, ocal wszystko co miłém jest dla mnie, gdy już ani niebo, ani ziemia, ani wasze prośby, ani łzy nie mogą mnie ocalić.

Widząc że podsłuchują co on mówi, Doża wymówił głośno kilka słów łacińskiéj pieśni, jak gdyby kończył cicho zaczętę modlitwę.

A chór jakby odpowiadając jego myślom, odśpiewał następujący wiersz téjże pieśni. Stary Contarini znowu powtórzył wyrazy téjże pieśni.

A chór zaczął pogrzebowy hymn *Dies irae*. Starzec zrobiwszy wszystkie przygotowania rzekł cicho do żony: Odważ się jeszcze na jeden dobry uczynek, pomóż mi pani włożyć go w trumnę.

Dogaressa usłyszawszy te słowa, ze wstrętem odskoczyła, i wydała krzyk, który w połowie zamarł na jéj ustach.

Doża połączył swój głos z śpiewającemi.

— Uważaj pani, rzekł cicho.

A potém dodał głośno.

Recordare, homo pie!

— Jeśli nie będziesz posłuszną, jeżeli on zrobi najmniejsze poruszenie...

Quis est finis tuae viae

— On umrze razem z tobą.

Potém złożywszy ręce dodał ze łzami w oczach:

Ne sis miser illa die!

Wśród tych pogrzebowych śpiewów, w pośród téj zimnéj krwi Doży, Dogaressa nie mogła się dłużéj namyślać, z śmiertelném drzeniem zbliżyła się do zmarłego, Contarini ją wstrzymał.

— Weź go pani za nogi: ja go podniosę za głowę, tylko ostróżnie. Ona w rozpaczy nie widząc sama co robi, wzięła Lundgi za nogi, on wziął za głowę, wszystko się skończyło, Lundgi leży w ołowianéj skrzyni. Biedna kobieta zakryła twarz rękami,

Tém czasem modlitwy daléj się odprawiały
Ab insidiis diaboli.
A damnatione aeterna.

A Doża dodawał.

Libera eum domine!

Doża, wziął wieko, zakrył nim trumnę na zawsze. Zakrywał ją powolnie. Wszyscy widzieli że przed zakryciem, rzekł coś do zmarłego, lecz tylko Dogaressa słyszała wyrazy.

— Signor Lundgi, rzekł Doża, już nie mamy nic do siebie.

Zamknął trumnę, u trumny był zamek, w zamku klucz, zamek zamknął na klucz, a klucz powiesił na szyi swojéj żonie.

Gdy się wszystko skończyło, przykryto trumnę czarnym całunem, zasianym srebrnemi łzami. Między człowiekiem w trumnie a światem jest nieprzebyta przepaść. Teraz Lundgi już zupełnie umarł.

Dwunastu ludzi wzięło trumnę na barki i przy blasku świéc woskowych, przy śpiewie pogrzebowych psalmów, zaniesiono ją do grobu Contarinich.

W dawnych grobowcach zawsze przygotowywano naprzód jednę mogiłę. Mój grób oddaję mojemu słudze Lundgi, rzekł Doża, mój grób cenię więcéj nad wszystko, a ciebie samą więcéj niż grób, rzekł obracając się do Dogaressy.

Trumnę wpuszczono do grobu, obecni usłyszeli słaby krzyk, lecz Doża wziął do grabarza motykę, i rzucił ziemię na trumnę; potém tylko słychać było spadającą ziemię, a łoskot głucht coraz bardziéj.

Grób był zasypany, śpiewy ustały. Doża

chciano wyprowadzić z tego miejsca, lecz uparty starzec, zawołał. O nie! przysięgłem, że nie opuszczę mojego Lundgi, dopóki się nad nim nie wzniesie nagrobek. Weźcie bronzowy nagrobek z mogiły mojego ojca, a przenieście go na Grób mojego Lundgi. Wiem że to zaszczyt nie zwykły, wziąść pomnik z grobu ojca, a postawić go na grobie wychowańca, obnażyć miejsce na którym spoczywa starzec, ażeby ozdobić to w któré n leży młodzieniec, zabrać ojcu mojemu, szlachetny herb jego rodziuy, książęcą jego koronę, jego tarczę z liljami, ażeby to wszystko postawić nad ciepłą jeszcze, mogiłą syna jednego z jego poddanych, to okropnie, temu trudno uwierzyć, lecz to jest moja wola, to mój roskaz który wydaję w grobie moich przodków, wymaga tego okoliczność, nad którą już nie długo naradzę się z moim ojcem. Weźcie te bronzowe trofeje, tych bronzowych aniołów, wszystkie te ozdoby ułożone z dział w korfie zdobytych, pamiątki kraju, i przenieście na grób Lundgi! Umocujcie je łańcuchami i cementem, żeby tam pozostały do końca swiata. Żeby nikt nie mógł ich poruszyć, nawet trzęsienie ziemi. Zróbcie, ja tak rozkazuje!

Tak mówił stárzec, a gdy słudzy nie śmieli przyłożyć ręki do grobu groźnego Contariniego, który niegdyś zmarszczeniem brwi, przestraszał nawet samą radę, Doza zbliżył się sam i pierwszy położył rękę na grożnym nagrobku. Pomóżcie mi zawołał na sługi. To jest właśnie powodem, że nieznający historji podróżni opowiadając tę powieść wspominają, że djabeł przeniósł nagrobek starego Cantariniego w inne miejsce.

Tak mówił czcigodny porucznik Godar. A że zgromadzenie poruszone Bóg wie jakiemi sprężynami, jakiemi zmianami głosu, jakiem działaniem światła jakąś niewiadomą przyczyną, która nie raz wsławiała mówców z natężoną uwagą słuchało powieści porucznika, zaczął się śmiać z całego serca.

O! łaskawi panowie, i łaskawe panie, rzekł on, wstrzymajcie przez litość wasze łzy, czyż nie widzicie że ja wam opowiadam najnowszą z nowych powieści.

— To jest że sobie z nas tylko żartujesz panie poruczniku?

— Właśnie to chciałem powiedzieć; jaki ja głupi, że żyję sobie na wsi bez miejsca bez pensji, a nie wezmę się do pisania powieści które tak dobrze umiem opowiadać.

Boję się tylko szanowni państwo, co z taką ochotą tracicie czas i wylewacie łzy, ażeby porucznik Godar nie odstręczył was na zawsze od powieści.

SPIS RZECZY

W TOMIE VI. ZAWARTYCH.

u nie
ek m
biego
o pr
rzyś
wszel
ożem
iego
drabia
swoj
jaki
okut
stania
ta b
ani
naczy
częs
sios
ró
to
Ten
i się
Zdaj
Ch
ą, r
ojąc